

Kieliszek trucizny

Baccalario Pierdomenico



calibre 0.9.43

Pierdomenico Baccalario

Kieliszek trucizny

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że mieszkańcy domu nr 11 w zaułku

Woltera to zwykli lokatorzy, jakich wiele w paryskich kamienicach. Jednak pozory

mylą! Co łączy właściciela antykwariatu, listonosza, gospodynię domową, słynnego

adwokata i trójkę nastolatków? Ich wspólny sekret: klub detektyWów--amatorów. Za

każdym razem gdy pojawia się zagadka kryminalna, z którą nawet policja nie daje

sobie rady, detektywi zbierają się w swojej tajnej bazie: mieszkaniu na pierwszym piętrze, należącym kiedyś do Gustawa Darbona, największego detektywa w Paryżu.

Tam, między jednym a drugim kawałkiem domowego ciasta od pani Jaśminy... rusza

śledztwo!

Mieszkańcy zaułka Woltera

Walentyna

Leon

nikola

pani

Jaśmina

Bruno

Simon

Wiktor

Ernest

syn pani Jaśminy, Ludwik

Wszystkie nazwy i postaci zawarte w książce należą do Dreamfarm JxL, na

wyłącznej licencji Atlantyca S.p.A. Ich tłumaczenie, jak i wszelkie adaptacje są

własnością Atlantyca S.p.A.

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki - z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych - możliwe jest tylko na podstawie zgody

wydawcy: Atlantyka S.p.A., Leopardi 8,20123 Milano, Italy, www.atlantyka.it,
foreignrights@atlantyka.it

International Rights © Atlantyka S.p.A., via Leopardi 8,20123 Milano, Italia

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Text by Pierdomenico Baccalario & Alessandro Gatti Original cover and illustrations by Effeffestudios

© 2009 Dreamfarm s.r.l., Milano, Italia

© 2011 for this book in Polish language by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Tytuł oryginału: Un bicchiere di veleno Przekład: Jowita Lupa Redakcja: Sylwia Burdek

Adiustacja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk, Małgorzata Biernacka

Korekta: Dorota Ratajczak

Opracowanie graficzne: MEDIA SPEKTRUM

Wydanie I, Kraków 2011 ISBN 978-83-265-0045-9

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

30-404 Kraków, ul. Cegielniana 4a tel/fax 12-266-62-94, tel. 12-266-62-92

www.zielonasowa.pl wydawnictwo@zielonasowa.pl

W mieszkaniu na trzecim piętrze kamienicy numer 11 w zaułku Woltera zadzwonił

telefon. Nikola i Simon oderwali się od odrabiania lekcji i spojrzeli po sobie. Po trzecim dzwonku mama podniosła słuchawkę. Było słychać, jak mówi „Halo” tonem, którego zwykle używała w pracy.

—
Teraz, Simon! — szepnęła Nikola.

Skinął głową. Rzucili książki w kąt i stanęli przed mamą.

—
Mamo, czas na deser! Możemy iść na naleśniki? — zapytał szybko Simon.

Podczas rozmów o pracy mama zwykle stawała się nieobecna — zupełnie jakby przebywała w innym świecie. Tak było i tym razem. W odpowiedzi na pytanie syna machnęła tylko ręką na znak zgody i słu-

chała dalej. Udało się! Dzieciaki pędziły już schodami w dół, a za ich plecami mama mówiła do słuchawki: — Tak, oczywiście, mogę to zrobić...

Walentyna Gaillard była dziennikarką i nowoczesną, przedsiębiorczą mamą.

Niedawno postanowiła: najwyższy czas, aby rodzina zaczęła się zdrowo odżywiać.

Koniec z naleśnikami z czekoladą! Tak się jednak złożyło, że Nikola i Simon przedsiębiorczość odziedziczyli po mamie!

Wybiegli na ulicę i ruszyli prosto do Petit Canard — najlepszej naleśnikami w okolicy.

Okazało się jednak, że świeże powietrze nie było tak świeże jak zwykle.

—
Ojej, jak śmierdzi! -zawołała Nikola, zatyka jąc nos.

—
Co się dzieje? — jęknął Simon, zakrywając twarz bluzą jak maską.

Kwaśny zapach aż wiercił w nosie i szybko zorientowa-

To pachnie zagadką!

li się, dlaczego: góry worków ze śmieciami leżały po obu stronach zaułka Woltera.

—
Zdrajk dźmiedziarzy — wyjaśniła siostra przez zatkany nos.

No jasne, przypomniał sobie Simon: już od kilku dni w telewizji mówili o strajku śmieciarzy, pokazując stosy śmieci zalegające wzdłuż chodników.

Nie dało się tego wytrzymać - trzeba było przyspieszyć. Wkrótce wchodzili już do Petit Canard.

—
Ufff ... — westchnęła z ulgą Nikola. W naleśnikami zawsze tak miło pachniało czekoladą i wanilią! Simon natychmiast pobiegł zająć ich ulubiony stolik przy oknie.

Bernard, właściciel Petit Canard, nawet nie pytał

o

zamówienie. Kilka minut później po prostu podszedł do nich z dwoma wspaniałymi naleśnikami z czekoladą.

—
Proszę... to, co zwykle — powiedział, stawiając przed nimi talerze. — To ekstra porcje, bo dawno was tu nie było!

—
Ach, szkoda słów, Bernardzie — westchnęła Nikola. — Ktoś u nas w domu chciałby cię pozbawić klientów!

—
Ale nigdy mu się to nie uda! — zaśmiał się Simon.

Rozbawiony Bernard ruszył prawym wąsikiem

i

odszedł. A Nikola i Simon nie mogli być bardziej szczęśliwi. Naleśniki, nareszcie! Przez dłuższą chwilę słychać było tylko szcęk widelców o talerze.

—
Nieźle... — powiedział w końcu Simon.

—
Nieźle? Są przepyszne! — zaprotestowała Nikola.

—
Nie chodzi o naleśniki — odparł brat, umazany czekoladą jak pirat krwią po zaciętej morskiej walce. — Tylko o tego mężczyznę — wskazał na kogoś po drugiej stronie ulicy, koło sklepu mięsnego.

—
Ale co z nim?

—
Ma nieźle coś na głowie!

—
To берет! W Paryżu to normalka — Nikola przyglądała się przez szybę.

—
Ja też jestem z Paryża — odpowiedział Simon -i co? Tylko z tego powodu miałbym nosić na głowie przydeptany placek?

Siostra uśmiechnęła się. Poprawiła się na krześle i jadła dalej, ale coś w tym człowieku w berecie nie dawało jej spokoju.

—
Faktycznie, to jakiś dziwak — powiedziała wreszcie, patrząc w stronę sklepu mięsnego.

Wypatrywanie dziwaków w tłumie na ulicach Paryża było tym, co Nikola lubiła najbardziej. Miała nawet plan, żeby tych najdziwaczniejszych zacząć opisywać w specjalnej kronice.

Tym razem chodziło o niskiego, chudego człowieczka w szarym, staromodnym

płaszczu. Jego głowa, zdecydowanie za duża w stosunku do reszty ciała,

To pachnie zagadką!

zdawała się jeszcze większa z powodu wielkiego beretu — właśnie tego, który zauważył Simon.

-

Patrz, co on wyprawia! — zawołała siostra, przysuwając twarz do okna. -

Macha rękami jak jakiś wariat...

-

Nie, on macha paragonem — sprostował Simon. - Pewnie nie podeszła mu

cena kiełbasek.

Faktycznie, dziwny pan swoim zachowaniem ściągał na siebie spojrzenia wszystkich wokoło. Nastroszony jak kogut przed walką, podskakiwał śmiesznie i widać było, że coś krzyczy do sprzedawcy — choć oczywiście był za daleko, żeby dało się usłyszeć, co. Rodzeństwo nie odrywało od niego wzroku.

-

Ej, a zobacz teraz! O co mu chodzi?

Sytuacja stała się groźna. Człowieczek w płaszczu i berecie, purpurowy na twarzy, podszedł do sprzedawcy i wymachiwał mu pięścią przed nosem.

Simon przełknął wielki kawałek naleśnika i wyciągnął szyję, próbując zobaczyć co się dzieje.

-

O rety, Nikola, patrz jakie wielkie noże wiszą tam obok! A on wygląda, jakby zaraz miał któryś złapać!

Już się wydawało, że Nikola i Simon będą świadkami jakiejś sensacyjnej akcji, człowiek w berecie awanturował się bowiem coraz bardziej! Nagle włożył rękę do

kieszoni i wyciągnął z niej... nie, nie pistolet, jak się skrycie spodziewał chłopiec.

Portfel. Demonstracyjnie - niczym aktor w kluczowej scenie dramatu — wyszarpnął z portfela banknot i rzucił go na ladę. Wreszcie, wciąż czerwony z wściekłości, chwycił pakunek z kiełbaskami i wypadł ze sklepu.

—
Urządził takie przedstawienie, a nie poczekał nawet na resztę! — zdumiał się Simon.

—
Dziwak, mówiłam! — stwierdziła Nikola.

Zabrali się z powrotem do naleśników, lecz nie dane im było zjeść w spokoju — nagle przeraźliwy pisk opon za oknem sprawił, że aż podskoczyli na krzesłach.

Rozdział drugi

Szybko wyrzeli na ulicę.

Za oknem naleśnikami rozegrała się gwałtowna scena. Stara limuzyna, zaparkowana dotąd przy chodniku, ruszyła nagle z miejsca jak szalona. Przejechała kilka metrów niebezpiecznym zygzakiem, przyspieszyła i skierowała się prosto na...

—
Człowiek w berecie! — krzyknęła dziewczyna, zrywając się na równe nogi.

—
Chodźmy zobaczyć! — zawołał Simon, biegnąc do drzwi.

Wszystko stało się błyskawicznie: ledwo wybiegli z lokalu, a limuzyna już zniknęła za zakrętem (rzecz jasna nie zdążyli przeczytać numeru rejestracyjnego). Potracony

mężczyzna leżał na ulicy i nie dawał znaków życia. Beret spadł mu z głowy, a pakunek z kiełbaskami wylądował aż na dachu stojącego obok samochodu.

Nikola nie była tchórzem, ale gdy biegli z bratem na miejsce wypadku, czuła, że ma gęsią skórę. Z wahaniem nachylili się nad człowieczkiem. Nagle Simon chwycił

siostrę za ramię.

—
Nikola, słuchaj!

Mężczyzna coś szeptał.

—
Żyje! — zawołała.

Pochylili się niżej. Człowieczek mamrotał coś niewyraźnie — z powtarzanych w kółko słów zrozumieli tylko: — To przekleństwo... tak, tak... przekleństwo... klątwa...

Pirat drogowy

Rodzeństwo spojrzło po sobie. O co mogło mu chodzić? Simon potrząsnął leżącym.

— Proszę pana... Nic się panu nie stało?

O dziwo, mężczyzna uśmiechnął się. — Zdążyłem odskoczyć... — wyszeptał. Zaraz jednak jakby oprzytomniał, uniósł głowę i spojrzał badawczo na Nikolę i Simona. —

Właśnie... To dlatego, że jestem bardzo ostrożny! Od kiedy spadło na mnie to przekleństwo — powiedział tajemniczym tonem.

— Jakie przekleństwo? — zdziwiła się dziewczyna.

Mężczyzna jednak znowu osłabł i mówił coraz ciszej:

— Najpierw mój najlepszy przyjaciel... Potem właściciele kamienicy... I jeszcze teraz... te absurdalne oskarżenia...

Rozdział drugi

Simon odwrócił się w stronę siostry i znacząco popukał palcem w czoło. „Wariat!”.

Nikola chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale na miejsce wypadku zaczęli

podchodzić ludzie. I znowu stała się dziwna rzecz: na ich widok potrącony człowieczek, przed chwilą jeszcze słaby i otumaniony, zerwał się na równe nogi.

—
Złodzieje! — krzyknął. — Gdzie mój beret? Gdzie kiełbaski?!

Zdumione rodzeństwo odruchowo podało mu jego rzeczy.

—
Aha! Jeszcze zobaczymy! — wykrzykiwał mężczyzna, wrywając im wszystko z rąk. — Jeszcze mnie popamiętacie! Marceli Dumont nie podda się tak łatwo! — Nerwowo otrzepał się z kurzu, założył beret na głowę i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku ulicy Bretagne.

Nikola szybko wyjęła komórkę i zapisała w notatkach: „Marceli Dumont”.

—
OK, idziemy! - rzuciła do brata.

—
Gdzie? Na naleśniki? Racja, zgłodniałem z tego wszystkiego...

—
Na jakie naleśniki?! — chwyciła go za ramię. -Idziemy śledzić Marcelego!

Chłopak wytrzeszczył oczy. - Śledzić? Ale dlaczego...

Siostra ciągnęła go już jednak za rękę i chcąc nie chcąc, Simon ruszył za nią.

Pirat drogowy

—
Dlatego, że tak zrobiłby King Ellerton! — odpowiedziała Nikola, próbując nie stracić z oczu człowieczka w berecie, który tymczasem zdążył się już dość znacznie oddalić.

Taa, jasne, King Ellerton... — marudził Simon.

—

King Ellerton na pewno zapamiętałby numer rejestracji tej limuzyny! Albo...

albo zauważyłby błysk aparatu w oknie któregoś z tych domów i zdobyłby zdjęcie wypadku, zrobione „przypadkiem” przez zaczajonego tam człowieka!

—

Nie marudź! Nie jesteśmy Kingiem Ellertonem, ale i tak nieźle nam idzie! —

ucięła Nikola.

King Ellerton był genialnym detektywem, bohaterem serialu telewizyjnego, powieści kryminalnych i audycji radiowych — oraz, oczywiście, idolem Nikoli i Simona.

Sprytny jak lis, spostrzegawczy i niepokonany, potrafił rozwiązać każdą zagadkę

kryminalną, nawet taką, w której wydawało się, że nie ma absolutnie żadnych

dowodów. Wystarczał jakiś drobny szczegół, na który nikt inny nie zwróciłby

najmniejszej uwagi

—

i już sprawa była wygrana. Winni nie mieli żadnych szans.

Ulubione powiedzenie wielkiego detektywa, powtarzane przy każdej okazji,

brzmiało: „Tak tak, to jest przypadek, ale... nic nie dzieje się przypadkiem!”.

Rozdział ri

-

Nikola miała rację: jeśli ktoś próbował zabić takiego dziwaka jak pan Marcelli, to tylko King Ellerton zdołałby odkryć, kto i dlaczego.

Simon włókł się jednak za siostrą bez przekonania, wzdychając co chwilę.

-

Wszystko OK? - rzuciła Nikola przez ramię, nie odwracając się. Starła się

wypatrzeć pana Marcelego między przechodniami i w końcu się jej udało —

mężczyzna właśnie przebiegał przez ulicę, zawałoną workami ze śmieciami. Chwilę potem rodzeństwo przechodziło na zielonym świetle tym samym przejściem dla pieszych. Zapach, oczywiście, był tak samo okropny jak po wyjściu z domu - Simon znowu zakrył twarz bluzą, a Nikola zatkała nos palcami.

—
Dżycie dedegdywa bodrafi bydź wardzo dzięż-gie! — stwierdziła z rezygnacją.

Śledzenie kogoś, kogo właśnie próbowano zabić, to dopiero były emocje! Całe miasto, dotąd nudne, zwyczajne i dobrze znane, nagle ożyło. Nikola rzecz jasna była zbyt rozsądna, żeby wyobrażać sobie, że odkryją Bóg wie co — podobała jej się jednak zabawa w śledztwo. Za to Simon, gdy naprawdę poczuł się detektywem, przestał marudzić i zaczął fantazjować na całego: że człowiek w berecie zaraz zostanie potrącony po raz drugi albo że skręci w jakąś podejrzaną uliczkę, gdzie zniknie bez śladu, albo że...

—
Simon — szepnęła siostra, ciągnąc go za rękaw.

-Co?

—
Marceli chyba dotarł na miejsce.

Zatrzymali się przed zakrętem. Dziewczyna wyjrzała ostrożnie zza rogu ulicy, jej brat za to wychylił się prawie cały, omal jej nie przewracając.

—
Czekaj! Odwrócił się!

Z bijącymi sercami przykleili się do ściany.

—
Widział nas?

—
No chyba.

Tym razem wychylili się tylko troszkę, oglądając kawałek po kawałku całą ulicę.

Widać było kałuże wokół kraterów ściekowych, chiński magiel i sklepik z komiksami.

—
Gdzie on jest? — spytał podenerwowany Simon.

—
Widziałam, jak wchodził do tamtej kamienicy -pokazała siostra.

—
Ale czemu?

—
Nie mam pojęcia...

—
To idę sprawdzić! — zanim Nikola zdążyła go powstrzymać, Simon pobiegł

prosto pod drzwi, w których zniknął człowiek w berecie. Przeczytał tabliczki przy domofonie, a gdy znalazł nazwisko „Dumont”,

uderzył się w czoło i zaczął się śmiać: — On tu miesz-

ka! Wow, ale jesteśmy świetni! Śledziliśmy tajemniczego człowieka w placku na głowie... aż do jego domu! Super!

Nikola, która tymczasem podeszła bliżej, skrzywiła się. Zapisała jednak na wszelki wypadek godzinę i adres w komórce.

—
I co teraz, wielka pani detektyw? Zostajemy na czatach czy wracamy do

domu?

Rozdział trzeci

—
Bardzo śmieszne — odpowiedziała siostra, trochę naburmuszona. — Ale było fajnie. No powiedz, że nie!

Simon nie mógł powiedzieć, że nie — faktycznie, było fajnie. Siedzenie tajemniczego człowieka, którego potrącił samochód, i to na dodatek człowieka w berecie ... zawsze to lepsze niż odrabianie lekcji. Właśnie... lekcje!!!

—
Nikola! Wiesz, co teraz będzie w domu?!

Gdy czerwoni i zdyszani wbiegali na swoje piętro, mama czekała już na nich w drzwiach. To nie wróżyło nic dobrego.

—
Nikolo! Simonie! Znowu to zrobiliście! — zaczęła groźnie.

—
Ale co? — Simon zawsze w takich sytuacjach robił anielską minę, na wszelki wypadek.

—
Nie udawaj, że nie wiesz! - krzyknęła mama. — Znowu ten sam podstęp! Spytaliście mnie o zgodę, gdy rozmawiałam przez telefon! Inaczej nigdy nie zgodziłabym się na to, żebyście jedli to paskudztwo!

—
Mamo! Jak możesz mówić, że naleśniki Bernarda to „paskudztwo"! - zaprotestowała Nikola.

—
OK, koniec rozmowy — mama wchodziła już do swojego pokoju, ale zdążyła jeszcze rzucić: — Za to dzisiaj na kolację gotowany kurczak i brokuły na parze! — zniknęła w drzwiach na tyle szybko, by nie słyszeć chóralnego „O nie!!!”.

Pla tropie

Zawiedzione rodzeństwo spojrzało po sobie. Wzdychając ciężko, wrócili do lekcji, a potem z ociąganiem nakryli do stołu. Smętne myśli o kolacji przerwał głośny dźwięk dzwonka.

— Leon! — krzyknęła Nikola, otwierając drzwi.

Leon Kabore mieszkał na ostatnim piętrze. Był to czarnoskóry chłopak z mnóstwem dredów na głowie. Miał szesnaście lat, więc był trochę starszy od Nikoli i Simona — ona miała trzynaście lat, a on dwanaście. Całą trójkę łączyła przyjaźń na wieki od czasów słynnej „historii z nudnymi rynnami”. Kiedy to właściwie było? Chyba z rok temu?

Historia była taka: rynny w kamienicy, w której mieszkali, były stare, brzydkie i nudne. Simon, Nikola i Leon postanowili więc ożywić ich kolor za pomocą...

żarówkowych sprayów. Udało się nadspodziewanie dobrze: na widok ich dzieła część lokatorów omal nie zemdląła. Inni wzywali kary bożej na chuliganów, jeszcze inni

grozili, że zadzwonią po policję... Tak się jednak złożyło, że pewien policjant,

komisarz Gail-lard, mieszkał już w tej kamienicy... i sprawa jakoś rozeszła się po kościach. Oczywiście, rynny przemaalowano na bezpieczny miedziany kolor. A

Nikola, Simon i Leon na szczęście nie zostali wykryci — tak im się przynajmniej wydawało.

Teraz Leon stał w drzwiach z zakłopotanym wyrazem twarzy.

*†

Rozdział trzeci -

—
Cześć, małolaty! Słuchajcie... mógłbym u was skorzystać z Internetu?

—Jasne! — Nikola uśmiechała się szeroko. — Mamo! Leon przyszedł!

—
Twoja mama znowu schowała ci modem? — domyślił się Simon.

—
Taaak... To przez te oceny z matmy — wyjaśnił z ociąganiem Leon.

—
I tak nie masz najgorzej — Nikola szturchnęła go porozumiewawczo w bok. —

Twoja przynajmniej nie każe ci jeść brokułów!

Poszli wszyscy do pokoju Simona. Leon usiadł przy biurku, otworzył swojego laptopa i natychmiast się do niego przykleił.

—
Co tam u was, dzieciaki? — rzucił przez ramię.

Nikola i Simon tylko na to czekali. Podekscytowani opowiadali jedno przez drugie, co się dzisiaj wydarzyło.

—
...no i okazało się, że ten Marcelli mieszka przy ulicy Charlot 23! —

dokończyła wreszcie dziewczyna.

Jedyną odpowiedzią było roztargnione „Ahaaa”.

—
Hej! Ziemia do Leona! Słuchasz nas w ogóle? — zawołał trochę zawiedziony

Simon.

Chłopak kiwnął głową, aż mu się dredy rozsypały na wszystkie strony. — No jasne!

Ten mężczyzna... Delfart... Przypadkiem prawie że go rozjechali! Ale akcja!

—
Dumont — poprawiła Nikola.

fla tropie

—

I to nie był przypadek! — dodał z naciskiem Simon. — Ten samochód chciał go przejechać!

Leon siedział jeszcze przez chwilę w Internecie, po czym zamknął laptopa. —

Wiecie, dzieciaki... Nie to, żebym wam nie wierzył, ale... W Paryżu jest mnóstwo ludzi w beretach i jeszcze więcej piratów drogowych, więc...

Nikola potrząsnęła energicznie głową. — Nic nie rozumiesz! Samochód ruszył dopiero wtedy, gdy Du-mont zaczął przechodzić przez ulicę. Ten kierowca zrobił to specjalnie!

—

A gdybyś słyszał tego mężczyznę w berecie! Coś wygadywał o kłątwe...

oskarżeniach... Strasznie dziwne rzeczy — dodał chłopiec. — Wiesz, coś jak...

—

Coś jak... wrzeszczący mordercy w zeszłym tygodniu? - zachichotał Leon. - Co się okazało, że to były zakochane koty?

—

Ale teraz mamy rację! — upierała się Nikola. — Wiesz jak on się rozglądał, zanim wszedł do domu? I jeszcze miał taką minę, jakby go ktoś gonił! — stwierdziła z poważną miną, zupełnie jak King Ellerton.

Leon zaczął się wahać. Może w tej historii faktycznie jest jakaś tajemnica? Zdarzają się przecież dziwne rzeczy... Niestety, akurat w tym momencie spojrzął na budzik i aż podskoczył.

—

Muszę lecieć! — zawołał, zrywając się z krzesła.

—

Juuuż? — zaprotestował Simon.

Mam próbę zespołu! I tak już jestem spóźniony - tłumaczył chłopak. - Przykro mi, dzieciaki! Pogadamy następnym razem! Cześć!

I zniknął. Nikola i Simon, tak nieoczekiwanie pozostawieni sami sobie, nie byli jednak źli. Nigdy nie gniewali się na Leona. Po prostu z nim tak było zawsze: robił sto rzeczy naraz, zupełnie jakby jego dzień trwał co najmniej dwa dni.

Ale... czy te jego próby zespołu przypadkiem nie są w czwartek? — zdziwiła się jeszcze Nikola.

Hm... nie wiem.

Niestety, nie było czasu, żeby się nad tym zastanowić — mama wołała ich do kuchni.

Zresztą, nie musiała nawet wołać: wystarczyło tylko pociągnąć nosem, żeby domysły przerodziły się w smutną pewność. Dzisiaj na kolację naprawdę będą brokuły.

4.

Kieliszek trucizny

Ernest Gaillard, tata Nikoli i Simona, był policjantem, a ściśle mówiąc, jednym z najważniejszych policjantów w mieście — kilka miesięcy wcześniej awansował na nadkomisarza.

Oczywiście, wraz ze zmianą w życiu taty, zmieniło się także życie jego rodziny.

Najbardziej rzucającą się w oczy nowością było to, że nigdy nie mogli być pewni, o której godzinie uda im się zjeść kolację. Dzisiaj Ernest znowu zadzwonił, że się

spóźni. Pewnie w komisariacie pojawił się kolejny nierozwiązywalny problem do rozwiązania...

Tata zawsze kończył swój telefon słowami: „Nie czekajcie na mnie z kolacją” - ale pani Walentyna, Ni-kola i Simon zawsze woleli poczekać. W końcu to nie była wina

taty, że musiał siedzieć w pracy do późna.

27

Rozdział czwarty

-

Ciekawe, co się znowu stało... — zastanawiał się Simon z nosem

rozpłaszczonym na szybie. Wpatrywał się na widoczną z okna Sekwanę i płynący po niej statek.

A pamiętacie historię z Pierrotem? — zapytała Nikola znad książki.

Zaśmiali się jak trójka współników.

Przed miesiącem do komisariatu pana Gaillarda przyszło zgłoszenie, że na brzegu Sekwany leży nieprzytomny mężczyzna w kostiumie Pierrota. Okazało się, że był to

jeden z najlepszych adwokatów w mieście! Dzieci na wszystkie sposoby próbowały się dowiedzieć, co się naprawdę stało, ale poza kilkoma żartami na ten temat tata milczał jak grób. Zwykle przy kolacji bywał bardziej skłonny do rozmowy, zawsze jednak dodawał: „Tylko nikomu nie mówcie — jasne, dzieciaki?”.

Nad miastem zapadł wieczór i okna kamienicy w zaułku Woltera zapalały się jedno po drugim. Gdyby ktoś zajrzał w jedno z nich, na trzecim piętrze, zobaczyłby miłą rodzinną scenę: pani Walentyna kończyła właśnie gotować kolację, a jej dzieci, chcąc skrócić sobie oczekiwanie na powrót taty, opowiadały mamie wydarzenia tego popołudnia.

—
Dobrze zrobiliście, pomagając temu panu, którego potrącił samochód —
powiedziała mama, odce-

Rozdział czwarty

-

—
Ciekawe, co się znowu stało... — zastanawiał się Simon z nosem rozplaszczonym na szybie. Wpatrywał się na widoczną z okna Sekwanę i płynący po niej statek.

—
A pamiętacie historię z Pierrotem? — zapytała Nikola znad książki.

Zaśmiali się jak trójka współników.

Przed miesiącem do komisariatu pana Gaillarda przyszło zgłoszenie, że na brzegu Sekwany leży nieprzytomny mężczyzna w kostiumie Pierrota. Okazało się, że był to jeden z najlepszych adwokatów w mieście! Dzieci na wszystkie sposoby próbowały się dowiedzieć, co się naprawdę stało, ale poza kilkoma żartami na ten temat tata milczał jak grób.

Zwykle przy kolacji bywał bardziej skłonny do rozmowy, zawsze jednak dodawał:

„Tylko nikomu nie mówcie — jasne, dzieciaki?”.

Nad miastem zapadł wieczór i okna kamienicy w zaułku Woltera zapalały się jedno

po drugim. Gdyby ktoś zajrzał w jedno z nich, na trzecim piętrze, zobaczyłby miłą rodzinną scenę: pani Walentyna kończyła właśnie gotować kolację, a jej dzieci, chcąc skrócić sobie oczekiwanie na powrót taty, opowiadały mamie wydarzenia tego

popołudnia.

—

Dobrze zrobiliście, pomagając temu panu, którego potrącił samochód —

powiedziała mama, odce-

dzając brokuły nad zlewem. — Ale śledzenie go to nie był najlepszy pomysł.

—

Czemu? — zapytał Simon, podjadając krakersy.

—

Nie śledzi się ludzi ot tak sobie, bez powodu. To mogło być niebezpieczne! —

odparła pani Walentyna.

—

Mamo, daj spokój! — zawołała Nikola. — Ten Marceli Dumont w ogóle nie

wyglądał groźnie.

—

Ale nie ma sensu się narażać przez... zwykłą ciekawość.

—

I kto to mówi! — zaśmiał się Simon. — Sama kiedyś zaczęłaś się w gabinecie

doktora Mersaulta, bo podejrzewałaś, że zabił swoją żonę!

—

Właśnie! — poparła go siostra. — Ale by było, gdyby cię wtedy przyłapał...

—

I gdyby naprawdę był mordercą! I gdyby trzymał w szufladzie długi nóż!

—

A tymczasem on tylko kupił dla niej rejs statkiem... - podsumowała rozbawiona

Nikoła.

Cóż, prawdę mówiąc pasja detektywistyczna była u Gaillardów rodzinna.

Pani Walentyna postanowiła odwrócić uwagę dzieci, zmieniając temat na

bezpieczniejszy. — Macie już jakiś pomysł na Tajemnicę Miesiąca? — spytała,

nalewając sobie soku z grejpfruta.

To był strzał w dziesiątkę. Simon natychmiast przestał wyglądać przez okno, Nikoła odłożyła książkę.

Rozdział czwarty

—

A ty masz?

—

Ja zapytałam pierwsza, spryciaro.

—

Ja już prawie zgadłem! - pochwalił się Simon, ale jak zwykle nikt mu nie

uwierzył.

Usiedli wszyscy na kanapie i zaczęli kartkować Kuranty śmierci, najnowszą książkę o Kingu Ellertonie. Tajemnica Miesiąca była to po prostu nazwa konkursu

zamieszczanego na ostatnich stronach książki. Co miesiąc wielki detektyw zadawał

czytelnikom jakąś wyjątkowo trudną zagadkę kryminalną i każdy, kto znalazł

rozwiązanie, mógł wysłać odpowiedź do wydawcy. Pierwsza osoba, która trafiła,

wygrywała roczny abonament na książki i pozłacaną lupę z inicjałami Kinga Ellertona.

—
To na pewno będzie pracownik stacji benzynowej! — wypalił Simon, podczas gdy mama i córka czytały zagadkę jeszcze raz.

Sprawa z tego miesiąca dotyczyła tajemniczej kradzieży klejnotów i zabójstwa w starej wiejskiej rezydencji w Sussex. Historia była naprawdę skomplikowana.

—
Ale tu przecież nie ma żadnej stacji benzynowej! — zawołała siostra. — Są tylko dorożki!

—
O to chodzi! Tylko on jest poza podejrzeniem, mówię wam.

Nikoła, Simon i pani Walentyna pograżyli się w burzliwej dyskusji. Wywrócili wszystkie fakty na drugą stronę, ale na nic nowego nie wpadli.

Kieliszek trucizny

-
—
To dlatego, że nie mogę się skupić — przyznała zniechęcona Nikoła po kilkunastu minutach. — Ciągle myślę o tym dzisiejszym wypadku.

—
Za dużo o tym myślisz — rzuciła niecierpliwie mama.

—
No bo powiedz sama! Kto chciałby zabić takiego biedaka jak Marceli? I dlaczego?!

W tej chwili z kuchennych drzwi wysunęła się głowa komisarza Gaillarda. Ernest był wysokim mężczyzną o rudych włosach i sumiastych wąsach. Jak zwykle wszedł do domu tak, żeby nikt go nie usłyszał.

—
Tato!

—
Ale nas przestraszyłeś!

—
Proszę, proszę, moja rodzinka!

Przywitał się czule z żoną i dziećmi, po czym z westchnieniem opadł na krzesło.

—
Mieście na mnie nie czekać — powiedział.

—
Żartujesz? Za minutę kolacja.

—
I mieście nie gotować brokułów — mrugnął porozumiewawczo do dzieci.

Nikola i Simon zachichotali.

—
Czy ktoś coś mówił? — zapytała z kuchni pani Walentyna.

—
Nie, kochanie. Ani słowa! - odparł komisarz niewinnie. Rzucił okiem na

książki rozrzucone na kanapie i spytał: - Czy to mi się coś ubzdurało, czy ktoś z was naprawdę powiedział „Marceli Dumont”?

Rozdział czwarty

Nikola i Simon spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Skąd tata mógł znać to nazwisko?

Pani Walentyna na chwilę przestała krzątać się po kuchni. Doskonale wiedziała, że mąż nie jest zadowolony z tego, że dzieci lubią się bawić w detektywów — nieraz jej wyrzucał, że sama je do tego zachęca. Uznała zatem, że lepiej nie mówić mu o

dzisiejszej przygodzie dzieci.

— Nie, mówiliśmy o Danielu, to kolega Nikoli ze szkoły — wtrąciła się szybko do rozmowy. - Ale ty musisz być wykończony, biedaku...

Dyskretnie puściła oko do dzieci i zaczęła podawać do stołu. Komisarz Gaillard faktycznie wyglądał na śmiertelnie zmęczonego: opadł bez sił na krzesło, z głową odchyłoną do tyłu. Pewnie miał koszmarne dzień.

— Tak, ledwo żyję... — powiedział z zamkniętymi oczami. — A do tego tyle razy słyszałem dziś w biurze to nazwisko, że wciąż brzęczy mi w uszach!

—

To nazwisko? — zapytała Nikola, nie zważając na ostrzegawcze spojrzenie mamy.

—

Dumont. Marceli Dumont — potwierdził ojciec, nakładając sobie na talerz udko kurczaka. — Dziwny typ, mieszka niedaleko stąd, przy ulicy Chariot. Jest podejrzany o zabicie właścicieli swojej kamienicy.

Simon zakrztusił się brokułem i kaszlał rozpaczliwie. Pani Walentyna omal nie upuściła widelca na podłogę.

—

CO TAKIEGO?! - zawołała Nikola.

—

Ale o co wam chodzi? — zdziwił się komisarz Gaillard. - W mieście tak dużym jak Paryż takie rzeczy zdarzają się praktycznie co chwilę!

—
Tak, ale... to znaczy... Podwójne zabójstwo to nie taka zwykła sprawa...

—
A jak ich zabił? — zapytał Simon.

Tata dokończył swoją porcję, nie odpowiadając. Nie bardzo lubił, gdy dzieci wypytywały go o pracę. Nikola szybko dołożyła tacie kurczaka i brokułów, mając nadzieję, że to mu przywróci humor. Problem polegał na tym, że wymyślane przez mamę dania na pewno sprzyjały zdrowiu, ale nie poprawie nastroju taty. Gdyby na kolację była nadziewana kaczka albo zupa cebulowa, albo — jeszcze lepiej — zapiekanka serowa z boczkiem... Wtedy tata na pewno opisałby każdy szczegół śledztwa!

—
Nie wiemy jeszcze, czy on to zrobił, synu — mruk-

Rozdział czwarty

-
nął komisarz Gaillard. — Ale jeżeli jest winny... — tutaj stuknął czubkiem noża o butelkę wody — to użył butelki zatrutego cydrul.

—
Erneście... proszę cię...

—
Ależ Walentyno, dzieci są już duże...

Mama już nie protestowała — też była ciekawa, co będzie dalej.

—
Marcel spóźniał się z zapłatą czynszu. Był winien państwu Bloch za kilka miesięcy. Jeszcze sprawdzamy... - Także druga porcja kurczaka z brokułami zniknęła.

Tata niespokojnie spojrział na zegarek.

—
A trucizna w butelce? — dopytywała się córka.

—
Kwas pruski. Tak mówi lekarz, któremu zleciliśmy analizę. Dawna trucizna, nie stosowano jej w Paryżu od lat. Jest lekko kwaskowata, dlatego właśnie wybrał cydr, trunek o kwaśnym smaku, który w dodatku przed wypiciem trzeba utlenić.

—
To znaczy? — zapytał Simon.

—
Odkorkowujesz butelkę i trzymając ją wysoko nad kieliszkiem, nalewasz cydr powoli po ściance, a potem od razu wypijasz. Tak to zrobili państwo Bloch. Marceli Dumont przypuszczalnie zaprosił ich do siebie, poczęstował cydrem zatrutym kwasem pruskim... i biedacy wyzionęli ducha.

—
O Boże! - zawołała pani Walentyna.

1 Cydr - jabłecznik, napój orzeźwiający o niewielkiej zawartości alkoholu, popularny zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii i Irlandii.

Kieliszek trucizny

—
Zdaje się, że żona właściciela była sknerą. Wyobraźcie sobie, jeden ze

świadków zeznał... — Komisarz uświadomił sobie nagle, że nic z tego, co zeznał

świadek, nie nadaje się do powtórzenia przy rodzinnym stole. — No, w sumie zeznał, że była sknerą — dokończył szybko.

Zaciekawiona pani Walentyna nie zważała już tak bardzo na obecność dzieci.

To nie jest wystarczający motyw, żeby ją zabić — skomentowała z wypiekami na twarzy.

—
To nie jest wystarczający motyw, żeby zabić także męża.

—
Ale... jeśli tak... to dlaczego Marceli nie siedzi jeszcze w areszcie?

—
To proste, moja droga... Ma alibi.

—
Tak. Państwo Bloch udali się do jego mieszkania przedwczoraj około szóstej.

Według lekarza sądowego jakieś dwadzieścia minut później wypili truciznę. A pan Dumont wrócił do domu nie wcześniej niż o siódmej wieczór.

—
A zatem nie było go w domu, gdy oni... wypili truciznę?

—
No właśnie. Ale pracujemy nad tym, żeby znaleźć jakiś błąd w jego alibi i skłonić go do przyznania się.

-Jest solidne? - pytanie Nikoli zabrzmiało bardzo

- Alibi?

Rozdział czwarty

-
profesjonalnie. — To znaczy, czy to jest jedno z tych alibi nie do podważenia?

Ojciec uśmiechnął się pod wąsem na to trafne pytanie. Ale nie miał ochoty ciągnąć dyskusji. — A co wy na to, żeby chociaż w domu przestał na chwilę pracować i

obejrzał sobie mecz?

Dziewczyna westchnęła z rozczarowaniem, podczas gdy Simon z tatą szli już do

salonu. Usiedli na kanapie, włączyli telewizor i natychmiast przenieśli się na stadion, między tłum kibiców Paris Saint-Germain. Zaczynał się mecz Ligi Mistrzów.

Walentyna i jej córka sprzątnęły ze stołu. Po wieczornej kąpieli Nikola poszła spać, jednak i tak nie mogła zasnąć, rozpamiętując wydarzenia dzisiejszego dnia.

Simon dołączył do siostry godzinę później (etap kąpieli uznał za niepotrzebny). Zdjął ubranie, zwinął je w kłębek i wrzucił pod swoje łóżko, po czym wlaź pod kołdrę.

-

I jak? - odezwała się Nikola. - Pytałeś go?

-O co?

—

Simon, no proszę cię...

—

A ty mnie pytałaś?

-O co?

-

No widzisz? Robisz dokładnie to, co ja!

Nikola prychnęła gniewnie, przewracając się pod

kołdrą. Po dłuższej chwili — wiedząc, że to bratu rozwiąże język — zapytała sprytnie:

—

Wasi wygrali czy przegrali?

—

Wygrali.

Zadowolony, że mógł się tym pochwalić, Simon wreszcie zaczął mówić na

interesujący siostrę temat.

—

Moim zdaniem to całe alibi jest nędzne. Marceli twierdzi, że niby poszedł robić

zakupy na targ i że siedział tam pół dnia. Ale jak wrócił do domu, to nie miał przy sobie żadnej torby z zakupami. Tata wysłał na targ detektywa Bruna, żeby to

sprawdził, ale...

—

.. .ale ta ofiara Bruno oczywiście nic nie znalazł.

—

No jasne.

—

Pewnie cały dzień zalegał przy stoisku z serami.

—

Tak czy siak... fajnie było dzisiaj, nie? — spytał Simon, gasząc lampkę nocną.

- Śledziliśmy jakiegoś mężczyznę i okazało się, że to prawdziwy podejrzany o morderstwo!

—

Właściwie to śledziliśmy podejrzanego o morderstwo, który o mało co sam nie padł ofiarą morderstwa — uściśliła dziewczyna. — Czy to nie dziwne?

—

No trochę...

—

Ale ja'w to nie wierzę.

-W co?

—

Ze Marceli mógł zrobić coś złego. Mnie się wydaje, że to nieszczęśliwy

maruda, który myśli, że wszyscy go prześladują. Ktoś taki nie bawiłby się przecież Rozdział czwarty

-

w tak niecny plan, żeby wlewać kwas pruski do butelki cydru... Po to, żeby nią potem otruć właściciela kamienicy, w której mieszka. •

-1 jego żonę...

—

I jego żonę. Na dodatek w swoim własnym mieszkaniu.

—

Musimy jutro pogadać z synem pani Jaśminy.

—

Świetny pomysł!

Nikola i Simon długo jeszcze przewracali się z boku na bok i gadali, gadali, gadali...

aż wreszcie zmęczenie wzięło górę i nie wiadomo kiedy zasnęli.

Antykwariusz--detektyw

Mały dzwoneczek zadzwieczał nad drzwiami sklepu na rogu zaułka Woltera. Sklep był długi, wąski i starodawny; znajdował się na parterze kamienicy, w której mieszkało rodzeństwo Gaillard. Szydł głosił: „LUDWIK - KOLEKCJE - RARYTASY - ANTYKI”.

Nikoła i Simon weszli do środka i zamknęli drzwi - dzwoneczek zadzwonił znowu.

—Już idę! — usłyszeli głos zza wiszącej w głębi sklepu kotary. Czekaając, oparli się o ladę. Stały na niej figurki baletnic, mosiężny telefon i stara kasa sklepową z okrągłymi, wytartymi klawiszami.

Po chwili zjawił się syn pani Jaśminy w gumowych pomarańczowych rękawiczkach, trzymając żółtą szmatkę. Minę miał niepewną.

Mały dzwoneczek zadzwieczał nad drzwiami sklepu na rogu zaułka Woltera. Sklep był długi, wąski i starodawny; znajdował się na parterze kamienicy, w której mieszkało rodzeństwo Gaillard. Szydł głosił: „LUDWIK - KOLEKCJE - RARYTASY - ANTYKI”.

Nikoła i Simon weszli do środka i zamknęli drzwi — dzwoneczek zadzwonił znowu.

—Już idę! — usłyszeli głos zza wiszącej w głębi sklepu kotary. Czekaając, oparli się o ladę. Stały na niej figurki baletnic, mosiężny telefon i stara kasa sklepową z okrągłymi, wytartymi klawiszami.

Po chwili zjawił się syn pani Jaśminy w gumowych pomarańczowych rękawiczkach, trzymając żółtą szmatkę. Minę miał niepewną.

Rozdział piąty

—

Uff, to wy, dzieciaki! — zawołał z ulgą, gdy zobaczył Simona i Nikolę. —

Całe szczęście! Już myślałem, że to pan Robert przyszedł odebrać komodę... Jeszcze nie skończyłem jej naprawiać, a on zawsze przychodzi za wcześnie.

—
Pomóc ci? — zapytał od razu Simon, który uwielbiał tę robotę. Syn pani

Jaśminy miał w sklepie takie ciekawe rzeczy! Zabytkowe meble, które trzeba było odnawiać woskiem do drewna; skrzynie pełne starych książek, w których nigdy nie było wiadomo co się znajdzie; monety i znaczki, których tony przyjeżdżały do sklepu z całego świata i które, po sprawdzeniu w katalogu, mogły okazać się cenne jak

zapomniany skarb piratów...

—
Nie, to nie zajmie długo. Tylko byś się pobrudził.

—
Pewnie właśnie dlatego chce ci pomóc — zażartowała Nikola.

Syn pani Jaśminy uśmiechnął się. Trudno było powiedzieć, ile ma lat: równie dobrze mógł mieć osiemnaście albo czterdzieści. Był niewysoki, miał okrągłą twarz i jasne włosy z przedziałkiem z boku. Ubierał się zawsze tak samo, w sztruksowy garnitur, który wyszedł z mody jakieś piętnaście lat temu. Pod marynarką z łatami na łokciach nosił sweter z wycięciem w kształcie litery V, a pod nim koszulę (koniecznie w

kratę!). Całość uzupełniała obowiązkowa muszka. Jego oczy, ukryte za dużymi

okularami w grubej

Anfkwariusz-detektyw -

oprawie, zawsze się uśmiechały.

—
No, to co słyszeć? Nie powiecie chyba, że rozwiązaliście Tajemnicę Miesiąca?

— zapytał, odruchowo gładząc się ręką po głowie. Zaraz jednak przypomniał sobie o gumowych rękawiczkach i przestał.

—
Spokojnie! Jesteśmy jeszcze w lesie — uspokoił go Simon.

Poznali się właśnie jako fani Kinga Ellertona. Syn pani Jaśminy uwielbiał powieści kryminalne, a ponieważ pracował w antykwariacie, udało mu się znaleźć dla młodych Gaillardów kilka najstarszych książek z przygodami ich ulubionego detektywa. Od

tego czasu, gdy tylko rodzeństwo miało wolne popołudnie — albo gdy padał deszcz i nie można było grać w piłkę (Simon) czy też spotkać się z koleżankami (Nikola) —

przychodziło do sklepu jak do drugiego domu. Simon najchętniej pomagał przy meblach, Nikola wołała porządkować kolekcje starych porcelanowych lalek lub plakatów teatralnych z lat 50.

—

Właściwie to przyszliśmy, żeby ci powiedzieć o... o sprawie! — wypalił chłopak.

—

O sprawie? — powtórzył zdumiony syn pani Jaśminy.

—

Sprawie Marcelego Dumonta. Znasz go?

—

Nie. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

—

Jest podejrzany o zabicie właścicieli kamienicy, w której mieszka, za pomocą cydru.

Rozdział ty

—

Zatrutego kwasem pruskim.

—

Do stu piorunów! — zawołał syn pani Jaśminy. — A wy skąd o tym wie...

Aaaa, no tak, jasne. Nie zdążyłem jeszcze pogratulować waszemu tacie awansu na

nadkomisarza.

—

I to jest najlepsze — powiedział Simon. — Śledziliśmy Marcelego zanim dowiedzieliśmy się, że jest podejrzany o morderstwo.

W oczach syna pani Jaśminy zabłysła ciekawość detektywa. Jednak gdy spojrzał na zegar, który wisiał nad ladą, na jego twarzy odbiło się wahanie. Wreszcie westchnął:

— Zrobimy tak. Pójdziemy na zaplecze i opowiecie mi wszystko, podczas gdy ja dokończę polerowanie tej nieszczęsnej komody. Może być?

Nikoli i Simonowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Tego popołudnia około godziny piątej, gdy słońce było już dość nisko na niebie, syn pani Jaśminy oddał doskonale wypolerowaną komodę panu Robertowi, po czym

zawiesił na drzwiach tabliczkę „Zamknięte” i pogрузił się w rozmyślaniach.

Zasiadł w kraciastym fotelu, stojącym na zapleczu sklepu, sięgnął po oryginalną

angielską fajkę z 1888 roku i ćmił ją, choć była zgaszona. Gdyby naprawdę ją zapalił, kaszel męczyłby go przez dobre pół godziny — ale oczywiście chodziło tylko o to,

by jak najbardziej upodobnić się do wielkiego Kinga Ellertona.

Rozdział piąty

—

Zatrutego kwasem pruskim.

—

Do stu piorunów! - zawołał syn pani Jaśminy. — A wy skąd o tym wie... Aaaa,

no tak, jasne. Nie zdążyłem jeszcze pogratulować waszemu tacie awansu na

nadkomisarza.

—

I to jest najlepsze — powiedział Simon. — Śledziliśmy Marcelego zanim

dowiedzieliśmy się, że jest podejrzany o morderstwo.

W oczach syna pani Jaśminy zabłysła ciekawość detektywa. Jednak gdy spojrzał na zegar, który wisiał nad ladą, na jego twarzy odbiło się wahanie. Wreszcie westchnął:

— Zrobimy tak. Pójdziemy na zaplecze i opowiecie mi wszystko, podczas gdy ja dokończę polerowanie tej nieszczęsnej komody. Może być?

Nikoli i Simonowi nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Tego popołudnia około godziny piątej, gdy słońce było już dość nisko na niebie, syn pani Jaśminy oddał doskonale wypolerowaną komodę panu Robertowi, po czym

zawiesił na drzwiach tabliczkę „Zamknięte” i pogrążył się w rozmyślaniach.

Zasiadł w kraciastym fotelu, stojącym na zapleczu sklepu, sięgnął po oryginalną

angielską fajkę z 1888 roku i ćmił ją, choć była zgaszona. Gdyby naprawdę ją zapalił, kaszel męczyłby go przez dobre pół godziny — ale oczywiście chodziło tylko o to,

by jak najbardziej upodobnić się do wielkiego Kinga Ellertona.

Anfjkwariusz-detektyw -

— Każdy wielki detektyw potrzebuje asystenta... — mruknął do siebie. — I wcale nie jest powiedziane, że asystent musi być tylko jeden.

Syn pani Jaśminy doskonale pamiętał, że sam Sherlock Holmes - którego asystentem

był przecież nie mniej słynny doktor Watson — korzystał czasem z pomocy

ulicznych łobuziaków, urwisów z Baker Street.

„Rodzeństwo Gaillard...” dumiał syn pani Jaśminy. „Zdolne, bystre dzieciaki, pełne entuzjazmu... Dwa elementy, których brakowało w tej układance!”.

Rozdział ty

Odłożył fajkę i wstał z fotela. Wciąż zamyślony, powoli wchodził po schodkach

ukrytych w głębi sklepu. Wyszedł na wewnętrzne podwórko kamienicy i spojrzał w

górze, upewniając się, że okna na pierwszym piętrze są zamknięte jak zawsze. Potem poszedł na drugie piętro.

—
Mamo? — zawołał, wchodząc do mieszkania.

W odpowiedzi usłyszał nucenie i jednocześnie poczuł miły zapach kremu, cynamonu i cytryny. To znaczy, że matka była w kuchni. Wchodząc, zobaczył ją z rękami zanurzonymi po łokcie w cieście, które zajmowało pół stołu.

—
Robię kremówki — powiedziała wesoło pani Ja -śmina.

Syn zabrał się do parzenia herbaty, wstawiając wodę w ogniście czerwonym czajniczku.

—
Zmiana planów, mamo...

—
To znaczy?

—
Coś się wydarzyło... Musimy się pośpieszyć.

—
To chyba dobry pomysł. Zresztą wszystko gotowe, prawda?

—
Nie do końca. Właściwie to ja i Leon potrzebujemy jeszcze parę tygodni, żeby pozamykać pewne sprawy, ale...

—
Ale coś się zmieniło.

—
Właśnie. Dlatego wszystko musi się zacząć wcześniej. Czy to dla ciebie duży

kłopot?

Kobieta roześmiała się: — Jaki tam kłopot! Zaczniemy, kiedy tylko chcesz.

Pani Jaśmina była niewysoka, pulchna, z silnymi rękoma i włosami spiętymi w kok.

Jej oczy zdradzały żywą inteligencję i zdrowy rozsądek — płynący w połowie z życiowego doświadczenia, a w połowie z zażartych dyskusji prowadzonych na targu.

—
To może dzisiaj? — szepnął syn.

Pani Jaśmina wsparła oblepione mąką dłonie

o

boki. — Dzisiaj? Ale muszę mieć czas, żeby dokończyć ciasto. Dwadzieścia minut na przygotowanie

1

półtorej godziny na pieczenie. Jeśli nie przeszkadza wam jedzenie gorącego...

-

Będzie doskonale - uznał syn z zadowolonym uśmiechem.

%

Rozdział piąty

Nalał sobie herbaty, po czym otworzył żółtą teczkę, wyciągnął z niej kartkę i napisał: Klub z dreszczykiem? Grupa tropicieli?

Spółka detektywistyczna z zaufka Wolt er a?

Sprawdził zapisane swoim drobnym pismem nazwiska i dodał: Nikola i Simon

Gaillard. Asystenci.

Upił łyk herbaty i po chwili zastanowienia dopisał: Detektywi?

—

I co ty na to? — spytała Nikola brata, gdy siedzieli oboje w swoim pokoju,

udając, że odrabiają lekcje.

—

Chyba jest zainteresowany...

—

Bardzo zainteresowany. Aż za bardzo.

—

Tak, syn pani Jaśminy jest w porządku. Nie tak jak większość dorosłych.

Słucha, co mówimy... wierzy, że czasami zdarzają się dziwne rzeczy...

—

Noo... on sam jest troszeczkę dziwny.

—

Ale pomoże, zobaczysz.

—

Myślisz?

—

Tak powiedział. Dzisiaj wieczorem, po kolacji.

—

To też-jest jakieś dziwne... — upierała się siostra.

—

Ee tam, nie bardziej niż... — Simon urwał gwałtownie. Usłyszeli, jak klucz obraca się w zamku, a za-

Rozdział z

-

raz potem głos taty zawołał: — Niespodzianka! Już jestem!

Dzieciaki pośpiesznie zamknęły książki i zeszyty.

—
Chodź, spróbujemy się czegoś dowiedzieć - szepnął Simon, gdy wychodzili z pokoju.

—
Ale ostrożnie, żeby się nie zdenerwował! - ostrzegła Nikola. - Bo mama się domyśli, że się dalej tym zajmujemy!

Brat uśmiechnął się wesoło. - Spokojnie, nic się nie martw. Ja to załatwię. - Po czym pobiegł na spotkanie komisarza Gaillarda. — Tato! Już wróciłeś? I co, aresztowałeś tego Marcelego czy nie?!

Tymczasem na czwartym piętrze tej samej kamienicy w zaułku Woltera trwała

burzliwa rozmowa. Znakomity adwokat Ferdynand Janvier (najsłynniejszy specjalista od prawa karnego w Paryżu, obecnie na emeryturze), zwany „Białym Gołębkiem” z powodu siwej bujnej czupryny, rozmawiał z jedyną osobą, która mogła go pokonać w

dyskusji: ze swoją żoną.

Pan Ferdynand stał na środku przedpokoju, dosłownie wytapetowanego dyplomami, fotografiami i wycinkami ze starych gazet — dowodami jego długiej kariery.

—
Zupełnie cię nie rozumiem — powiedział zirytowany. Tym razem chodziło o zwolnienie z pracy chyba już setnej z kolei pomocy domowej, która popełniła

Książę sali sądowej

-
niewybaczalne (według pani Janvier) przestępstwo: zapomniała odkurzyć srebrne drobiazgi po ciotce Amelii. Dla starego adwokata tego rodzaju dyskusja była tak ciekawa jak brzęczenie muchy. — Nie możesz jej powiedzieć, żeby je odkurzyła następnym razem? — zaproponował z niechęcią.

Z kuchni, w której niepodzielnie panowała jego żona, dobiegła seria płaczliwych

wyjaśnień, mniej więcej już znanych.

—
Nie można na niej polegać... Nie rozumie, jak niebezpieczny jest kurz... Srebro traci blask... Co sobie goście pomyślą...

Adwokat zdążył już ukradkiem zagłębić nos w powieści kryminalnej, którą chwilę wcześniej zdjął z regału.

-
Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?! -zapytała zniecierpliwiona pani Janvier.

Był najlepszy adwokat w Paryżu, oderwany od lektury, chciał już odruchowo zawołać „Sprzeciw!”. Opamiętał się jednak i odłożył szybko książkę.

-
Oczywiście, moja droga. Jeśli tak się rzeczy mają, musimy... hmm... ją zwolnić.

—
Naprawdę tak uważasz, czy mówisz tak tylko po to, żeby mieć święty spokój?
— dopytywała się żona podejrzliwie.

Pan Ferdynand Janvier uniósł prawą brew — była to słynna mina, która w sądzie budziła grozę jego prze-

Rozdział szósty

ciwników, ponieważ oznaczała, że Biały Gołąb wygłosi zaraz jedną ze swoich ciętych i błyskotliwych mów.

„I tak nie będę miał świętego spokoju;!” pomyślał, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział głośno: — Naprawdę tak uważam.

W takim razie musimy znaleźć nową. I to do jutra.

—
Oczywiście, kochanie.

—
Może moja przyjaciółka Adelajda mogłaby nam polecić kogoś odpowiedniego...

—
Byłoby dobrze, gdybyśmy chociaż raz znaleźli pomoc domową, która wytrzymałaby dłużej niż tydzień — mruknął pan Ferdynand, patrząc tęsknie na odłożoną przed chwilą powieść kryminalną.

—
Co powiedziałaś, kochanie?

—
Nic nie mówiłem.

—
Hmm, wydawało mi się, że coś słyszałam... tak czy inaczej, musisz mi pomóc w poszukiwaniach.

—
Naturalnie, moja droga — odpowiedział mąż, wsuwając chyłkiem książkę do kieszeni.

Zona już łapała za telefon, by szukać nowej gosposi. Adwokat skierował się do salonu, zanim jednak wszedł do środka, przystanął - poczuł wspaniałą, smakowitą zapach, który przez okno wpadał do mieszkania.

—

Ach, to ciasto pani Jaśminy... — szepnął rozmarzony. — Może później uda się

nam zagrać...

Księżę sali sądowej

Upewnił się, że żona rozmawia przez telefon, po czym sprawdził, czy talia kart jest na swoim miejscu - w kieszeni płaszcza wiszącego przy wejściu. Była bezpieczna.

Zacierając ręce z zadowolenia, pan Janvier usiadł na fotelu w salonie, wyciągnął kryminał z kieszeni i zaczął czytać.

Niedługo później wielki adwokat usłyszał pukanie do drzwi. Nie takie zwyczajne, ale specjalne: jedno stuknięcie — dwa stuknięcia — jedno stuknięcie. Był to szyfr, który oznaczał: czas na brydża!

—

Ktoś puka! — zawołała żona z kuchni.

—

Otworzę! — szybko odpowiedział Ferdynand. Odłożył okulary i sięgnął po płaszc.

„Co za ulga" pomyślał, otwierając szeroko drzwi. Od kiedy był na emeryturze, zazwyczaj siedział cały czas w domu, nie mając się za bardzo czym zająć. Było to

okropnie nudne. Gdyby tylko mógł wrócić do swoich przestępców i do ukochanego sądu!

Pod drzwiami czekała niespodzianka: na wycieracze ktoś zostawił talerzyk z małym kawałkiem ciasta oraz kopertę.

Pan Janvier schylił się z trudnością i podniósł pozostawione rzeczy. Ciasto — to kremówka od pani Jaśminy, bez dwóch zdań. Ale porcja była dużo mniejsza niż zwykle.

Rozdział szósty

W kopercie natomiast znalazł niezwykle liścik.

Jeżeli chce Pan otrzymać swoją porcję chwały, prosimy o przybycie na rozpoczęcie

działalności Klubu Siedmiu Detektywów. Jeszcze dzisiaj, zaraz po kolacji, o godzinie 21. Obok piwnicy nr 12, znanej jako „piwnica pani Jaśminy”.

Należy wejść tylnym wejściem.

Pukać w czerwoną ścianę, szyfrem.

Gdy tylko zegar wskazał za pięć dziewiątą, adwokat oznajmił żonie lekko drżącym głosem: — Wycho-

—
Gdzie idziesz? - zapytała natychmiast.

—
Wyprowadzić psa...

—
Przecież nie mamy psa! - odparła pani Janvier, robiąc wielkie oczy.

—
Nie mamy? Racja... W takim razie powinniśmy mieć!

—
Nawet o tym nie myśl, Ferdynandzie.

—
A właśnie, że myślę. Dotrzymywałby nam towarzystwa i mogłabyś od czasu do czasu wyjść z nim na spacer, zamiast siedzieć cały dzień przed telewizorem.

—
Zawsze mówiłeś, że też lubisz oglądać filmy. Pan Ferdynand był już przy drzwiach salonu. — To
prawda, ale bardziej lubiłbym psa.

—
Ale gdzie ty idziesz? — powtórzyła żona.

Stary adwokat włożył zamasyście płaszcz, niczym tokę za starych, dobrych czasów, i położył dłoń na klamce.

—
Pójdę potrenować, na wypadek gdybyśmy sprawili sobie psa.

—
Ferdynandzie... Ile razy mam ci mówić, że nigdy nie będziemy mieli...

„Klak” — odpowiedział jej tylko trzask zamykanych drzwi.

Zbiegając schodami jak zwykle po dwa stopnie naraz, pan Ferdynand odetchnął z

ulgą — im bardziej oddalał się od mieszkania, w którym czuł się jak w klatce, tym lepszy miał humor.

Gdy dotarł na parter, nawet śmierdzące powietrze wpadające z ulicy (strajk

śmieciarzy trwał już czwarty dzień) wydawało mu się powiewem wolności.

Wyciągnął z kieszeni tajemniczy liścik, który dostał parę godzin wcześniej. Gdzie może być to „tylne wejście”? Może chodzi o drzwi od strony podwórza...

Pan Janvier wyszedł na podwórze i przyjrzał się badawczo czterem piętróm i

poddaszu swojej kamie-nicy.

Pierwsze piętro, zwane „reprezentacyjnym”, stanowiło zagadkę: od co najmniej trzydziestu lat nie

Rozdział szósty

dobiegały stamtąd żadne oznaki życia. Adwokat nie pamiętał nawet, kto był

formalnie właścicielem tego piętra: jakiś zagraniczny arystokrata? Amerykański

biznesmen? Hiszpański torreador? Nikt tego nie wiedział. Ale kimkolwiek by nie był

właściciel, czynsz płacił regularnie, choć nigdy nie widziano go w zaułku Woltera.

Na drugim piętrze mieszkali pani Jaśmina z synem, partnerzy adwokata do gry w

karty. Czwartym do brydża był Wiktor Cormolles, błyskotliwy listonosz o świetnej

pamięci. Wynajmował mieszkanie na trzecim piętrze, tym samym, na którym

mieszkała rodzina Gaillardów. Właścicielka mieszkania pana Wiktora mieszkała

naprzeciwko pani Jaśminy i uwielbiała słuchać muzyki operowej na cały regulator.

Syn pani Jaśminy — zarządca budynku — często ją prosił, żeby przyciszyła muzykę, ale bez skutku: przynajmniej co dwa tygodnie w zaułku Woltera rozbrzmiewały głośno najładniejsze operowe arie.

W kamienicy było jeszcze kilka innych mieszkań, zamieszkiwanych przez osoby szacowne i powściągliwe, oraz poddasze z okrągłymi oknami. Zajmował je muzyk Leon, chłopak pochodzący z Mali, oraz jego matka.

Dokonawszy oględzin, pan Janvier szybko przeszedł przez podwórze i stanął przed ukrytymi pod bluszczem drzwiczkami.

Księżę sali sądowej

„Ciekawe... Mieszkam tutaj trzydzieści lat i jeszcze nigdy nie otworzyłem tych drzwi” wymruczał pod nosem.

Chwila nadeszła. Ledwo dotknął drewnianej powierzchni, drzwi otworzyły się same z cichym skrzypnięciem.

Za nimi pan Ferdynand zobaczył wąskie, słabo oświetlone schody prowadzące w dół.

—

Dalibóg! — zdumiał się, używając swojego ulubionego powiedzenia.

Gdy zszedł po schodach, cały czas oczywiście trzymając się chwiejnej poręczy, znalazł się na korytarzu najzwyklejszej piwnicy: było ciemno, wilgotno i ponuro.

Usłyszał jakieś głosy w oddali i ruszył w tym kierunku.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się rzędy drzwi do poszczególnych piwnic.

Ponieważ światła było mało, Janvier musiał założyć okulary, żeby zobaczyć numery.

—

Piwnica numer 9... 10... 11... - czytał na głos.

Drzwi do piwnicy numer 12, należącej do pani Jaśminy, były otwarte — a w środku było już rodzeństwo Gaillard.

—
Mecenas Ferdynand! — Nikola aż podskoczyła na jego widok. — O Boże, ale się wystraszyłam!

Księżę sali sądowej

-
—
A wy co tu robicie?

—
Żebym to ja wiedział... — odparł rozdrażniony Simon.

—
Umówiliśmy się na spotkanie z synem pani Jaśminy — wyjaśniła siostra.

-Aha?

—
Ale pana się tutaj nie spodziewaliśmy — dokończyła.

—
Mógłbym powiedzieć to samo o was — odgryzł się adwokat. Sprawdził, czy wciąż ma w kieszeni tajemniczy liścik. — Wy też dostaliście... kawałek kre-mówki?

Simon spojrzał na niego zaskoczony. - Przepraszam, co takiego?

—
Hmm, nic. W takim razie... na czym stoimy?

—
Na podłodze w piwnicy — Simon wzruszył ramionami. — A syna pani

Jaśminy nie ma i nie ma.

—

Chodziło mi o to, jak wygląda sytuacja... Najwyraźniej syn pani Jaśminy wyznaczył spotkanie nam trojgu — stwierdził adwokat. — Tutaj... o tej porze.

—

Mówiłam, że to dziwne! Ale Simon oczywiście uważał, że to zupełnie normalne — rzuciła Nikola z przekąsem.

—

W zasadzie czemu nie? W piwnicy dobrze się rozmawia... nikt nie przeszkadza... — tłumaczył się Simon.

—

Bez wątpienia, ale jednak... — adwokat spojrział

Rozdział szósty

na zegarek. Była dokładnie dziewiąta. — Może wystarczy poczekać pięć minut...

—

Nam kazał przyjść za piętnaście dziewiąta.

—

Mnie na dziewiątą.

—

Więc może my i pan nie mieliśmy się spotkać?

—

Nie wydaje się panu, że to wszystko jest jakieś takie... podejrzone?

Adwokat zachichotał. Zawsze lubił te dzieciaki. Bystre, szczere i bardzo wygadane jak na swój wiek.

—

Może syn pani Jaśminy ściągnął nas tutaj... żeby zagrać z nami w jakąś grę? —

zaryzykowała Nikola.

—
Czerwona ściana! — wykrzyknął Janvier tak nagle, że brat i siostra aż

podskoczyli. Wskazał na jedną ze ścian piwnicy pani Jaśminy. W piwnicy panował

porządek i niewiele w niej było gratów: parę starych rowerów, jakieś pudła ze

sprzętem domowym, a na półkach mnóstwo słoików z przetworami. I właśnie ściana

za słoikami była pomalowana na czerwono. Pan Ferdynand patrzył na nią jakby nagle doznał olśnienia, po czym przyłożył ucho do muru, nasłuchując.

—
I co, słyszy pan coś? — spytał Simon, rozbawiony dziwnym zachowaniem

mecenasa.

—
Nic a nic — niechętnie przyznał adwokat. Pomyślał chwilę, po czym zabrał się

do systematycznego opukiwania ściany. „Puk, puk”. „Puk, puk”. — Jeśli mam być szczery, nigdy nie rozumiałem — „puk, puk”

Księżę sali sądowej

-
- jak można coś usłyszeć, opukując ściany ... — „puk, puk” — .. jak w książkach albo w filmach.

„Dug, dug” - rozległo się nagle, gdy zastukał w miejscu, które różniło się trochę od reszty ściany.

Stary adwokat uniósł brew. - Wy też to słyszeliście?

—
No jasne! — potwierdził Simon. — Taki odgłos, jakby z tyłu było pusto!

Mecenas Ferdynand powstrzymał okrzyk radości.

Czy to się dzieje naprawdę? Czy naprawdę zszedł do piwnicy swego domu i znalazł

tam fałszywą ścianę, i...

—

Teraz trzeba zastukać szyfrem - mruknął, przypominając sobie informacje z tajemniczego liścika.

—

Jakim szyfrem?

—

Alfabetem Morse'a?

Biały Gołąb pokręcił głową. — Nie, szyfrem, którego używamy przed rozgrywką brydża.

—

Yyy... chyba nie wiem, o co chodzi, panie mecenasie — powiedział zakłopotany Simon.

—

Możesz mówić do mnie Ferdynand, chłopcze -odpowiedział adwokat i zastukał: jedno stuknięcie, dwa stuknięcia, jedno stuknięcie.

Światło w piwnicy nagle zgasło.

Najpierw usłyszeli .krótkie „klak!”, a potem skrzypienie zawiasów. Na czerwonej ścianie pokazał się oświetlony zarys drzwi.

—

Dalibóg! —wykrzyknął adwokat.

Rozdział szósty

— Nie wierzę własnym oczom... — wyszeptała Ni-kola.

Simon o mało nie przewrócił regału z przetworami. Za drzwiami były kręte schody, które prowadziły w górę.

Dostojny ksiązę sali sądowej upierał się, że pójdzie pierwszy, Nikola natomiast za nic nie chciała wyjść z piwnicy ostatnia. Przeszli więc przez drzwi w odpowiedniej

kolejności i gęsiego zaczęli wchodzić krętymi schodami w górę.

Tajne drzwi... Stare skrzypiące schody...

Simon ledwo powstrzymywał się, żeby nie wyprzedzić mecenasa i pobiec jako pierwszy na górę. To wszystko było zupełnie niezwykle, jak w jakimś starym, czarno-białym filmie o duchach albo wampirach!

Schody prowadziły do dziwnego, wysokiego i wąskiego pomieszczenia. W półmroku ledwo było widać kamienną posadzkę i wysokie ściany.

— Rozumiesz coś z tego? — spytała brata zdyszana Nikola.

Rozdział smy

-

—

Tu jest jak we śnie! — wołał podekscytowany Simon. — Takim dziwnym, ale miłym!

Jedynе światło w pomieszczeniu wpadało przez niskie, prostokątne przejście w jednej ze ścian. Zresztą, wpadało przez nie nie tylko światło...

—

Niech mnie dunder świśnie, jeśli to nie jest... głos Wiktora! — zawołał adwokat, pochylając się przy przejściu.

—

Mecenas Janvier? — odpowiedział ktoś po drugiej stronie. — To pan, Ferdynandzie? Niech się pan nisko schyli i uważa, przechodząc pod spodem.

Najlepiej niech pan przejdzie w kucki, tak jak ja!

Adwokat był bardzo zakłopotany. Spojrzał na czarne od brudu kamienie podłogi, a

potem na swój płaszcz. Oczywiście, bardziej bał się gniewu żony niż tego, że się pobrudzi, ale...

Gdy mecenas Ferdynand zastanawiał się, co zrobić, rodzeństwo Gaillard śmignęło zwinnie przez rozświetlone przejście.

—
Pan Cormolles! — zawołał Simon, rozpoznając listonosza Wiktora.

—
Leon! — krzyknęła zdziwiona Nikola.

Dzieciaki rozglądały się dokoła, usiłując zrozumieć,

co się dzieje. Znajdowali się w dużym pokoju z drewnianą podłogą, wysokim sufitem i przynajmniej trzema wielkimi oknami o zamkniętych okiennicach. Na środku stał

potężny stół z czarnego drewna, z noga-

Zielony gabinet

mi rzeźbionymi w lwie łapy. Na blacie umieszczono srebrny świecznik, nóż do

papieru i popielniczkę z fioletowego kryształu. Dookoła stołu, na ogromnym perskim dywanie stało kilka niewielkich foteli. Ściany były obite zieloną tkaniną — po prawej stronie wisiały dwa pistolety, głowa lwa i głowa niedźwiedzia o wyszczerzonych

kłach, a z lewej znajdowała się biblioteczka z mnóstwem książek. Zajmowały one

prawie wszystkie półki, oprócz jednej, na której stały rzędem: kilka zabytkowych pistoletów, dwie rzeźbione fajki, malajski nóż o wygiętym ostrzu i... ludzka czaszka!

Rozglądając się na wszystkie strony, Simon szybko się zorientował, że wejście,

którym przed chwilą wcisnęli się do środka, było po prostu ogromnym kamiennym

kominkiem. A te wysokie, poczerniałe ściany, które zobaczyli wchodząc po krętych schodkach — to był szyb kominowy.

Przed kominkiem stały dwie osoby, Wiktor i Leon, z zupełnie różnymi minami: Leon

uśmiechał się zagadkowo, a zdenerwowany Wiktor miętosił w rękach swój beret.

— Gaillard junior?! — krzyknął na widok Simona. — I mała Nikola?

Kiedy i pan Ferdynand wydostał się w końcu spod kominka, listonosz nie mógł już dłużej wytrzymać. -Coś takiego! - zawołał. - Co to ma znaczyć?!

Zielony gabinet

mi rzeźbionymi w lwie łapy. Na blacie umieszczono srebrny świecznik, nóż do

papieru i popielniczkę z fioletowego kryształu. Dookoła stołu, na ogromnym perskim dywanie stało kilka niewielkich foteli. Ściany były obite zieloną tkaniną — po prawej stronie wisiały dwa pistolety, głowa lwa i głowa niedźwiedzia o wyszczerzonych

kłach, a z lewej znajdowała się biblioteczka z mnóstwem książek. Zajmowały one prawie wszystkie półki, oprócz jednej, na której stały rzędem: kilka zabytkowych pistoletów, dwie rzeźbione fajki, malajski nóż o wygiętym ostrzu i... ludzka czaszka!

Rozglądając się na wszystkie strony, Simon szybko się zorientował, że wejście, którym przed chwilą wcisnęli się do środka, było po prostu ogromnym kamiennym kominkiem. A te wysokie, poczerniałe ściany, które zobaczyli wchodząc po krętych schodkach — to był szyb kominowy.

Przed kominkiem stały dwie osoby, Wiktor i Leon, z zupełnie różnymi minami: Leon uśmiechał się zagadkowo, a zdenerwowany Wiktor miętosił w rękach swój beret.

- Gaillard junior?! — krzyknął na widok Simona. — I mała Nikola?

Kiedy i pan Ferdynand wydostał się w końcu spod kominka, listonosz nie mógł już dłużej wytrzymać. — Coś takiego! — zawołał. — Co to ma znaczyć?!

Rozdział iy

—

Cześć! - pozdrowił wszystkich Leon, nie przejmując się lamentami listonosza.

Odpowiedzią było klepięcie w plecy od Simona, zakłopotany uśmiech Nikoli i niepewny uścisk dłoni byłego najlepszego adwokata w Paryżu.

—
No, to jesteśmy prawie w komplecie — stwierdził chłopak z dreadami.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

—
W jakim komplecie?

—
Spokojnie, zaraz wszystko się wyjaśni — odparł Leon.

—
O rany... — jęknęła Nikola, rozglądając się dookoła. — A tak właściwie... to gdzie jesteśmy?

Mecenas Ferdynand podszedł do jednego z wysokich okien i próbował wyrzeć przez zamknięte okiennice. — Powiedziałbym, że jesteśmy na pierwszym piętrze kamienicy.

—
O rany! Na tym, które jest zawsze zamknięte? -dopytywał się Simon.

—
Niemożliwe! — zawołała Nikola, robiąc wielkie oczy.

—
A przede wszystkim... po co? — dodał emerytowany adwokat.

—
Zastanawiam się nad tym co najmniej od dziesięciu minut, Ferdynandzie —

wtrącił kwaśno Wiktor. — I chociaż nie pierwszy raz zdarza mi się wchodzić gdzieś przez kominek... z pewnością nie spodziewa-Zielony gabinet

łem się, że zrobię to tutaj.

Simon tymczasem zainteresował się biblioteczką. Były tam same stare książki o

groźnych i mrocznych tytułach: 10 lat zbrodni (1930-1940), 112 niewyjaśnionych

morderstw w dziejach Paryża, Krótka historia gilotyny, Zbrodnia w salonie: kronika morderstw rodzinnych.

—

Można wiedzieć, na kogo jeszcze czekamy? — zrzędził dalej listonosz, celując

w Leona swoim wymiętym beretem.

—

Łatwo zgadnąć — odpowiedział mu spokojnie adwokat. — Wszyscy byliśmy

na dziś umówieni z synem pani Jaśminy, prawda? — Nie czekając na potwierdzenie,

ciągnął: — Ja osobiście zostałem tu zwabiony za pomocą kawałka ciasta i tego

liścika... — Pokazał kartkę pozostałym.

Wiktor odezwał się pierwszy: — Pan też, mecenasie?

—

Na to wygląda.

—

A wy? — zwrócił się listonosz do rodzeństwa Ga-

— My nie dostaliśmy ciasta — wyznała nieco urażona Nikola. — Ani nawet liścika,

ale...

„Bach!” - nagle jakiś przedmiot uderzył o podłogę i potoczył się po dywanie.

To czaszka wypadła z rąk oglądającego ją Simona. Wszyscy wzdrygnęli się lekko.

illard.

Rozdział smy

-

—
Przepraszam — powiedział chłopak.

—
Mieliśmy porozmawiać z synem pani Jaśminy o bardzo ważnej sprawie -
ciągnęła dziewczyna.

—
A możemy wiedzieć, co to za sprawa? — zapytał oschle Wiktor.

—
Tajemnica Miesiąca!

—
Tajemnica Miesiąca? Od Kinga Ellertona? -upewniał się pan Ferdynand.

—
Ostatnia? Ta z karetą na wrzosowisku? — listonosz nie ukrywał ciekawości.

—
Tak! — potwierdził Simon, zadowolony, że wszyscy obecni są fanami
wielkiego Kinga Ellertona.

—
A ty, Leonie, co tu robisz? — spytał mecenas czarnoskórego chłopaka.

-Już tu był, kiedy przyszedłem - wtrącił podejrzliwie Wiktor.

Nikola i Simon spojrzeli po sobie: w tym dziwacznym pokoju sprawa Marcelego Dumonta całkiem wyleciała im z głowy. Wydawało się, że tylko oni dostrzegali osobliwe przedmioty, które zdobiły pokój, a wyglądały, jakby wypadły z wehikułu czasu. Na zacienionym stoliku stał połączony mikroskop, naprzeciw niego ktoś umieścił skrzynkę pełną tabliczek z białej porcelany z wypisanymi na nich literami.

Na jednej ze ścian wisiały rysunki przedstawiające różne typy ludzkich twarzy z podanymi w liczbach długościami nosów, a pod każdym z tych portretów widniał

Zielony gabinet

-

napis, który określał skłonności danej osoby: „krymi-nalno-mordercze”,

„maniakalno-obsesyjne”, „brutal-no-krwiożercze”...

—

Jestem tutaj z powodu pewnej... pracy, którą wykonałem dla syna pani Jaśminy

— wyznał wreszcie Leon.

—

Pracy?

—

To stara historia... Wiele nocy spędziłem nad tym przy komputerze... raczej

was to nie zainteresuje.

—

Owszem, nie zwykłem się interesować komputerami, ale skoro jest już

dziewiąta dziesiątka i nie mamy nic lepszego do roboty... — powiedział adwokat — ...

to może nam jednak opowiesz.

—

Noo... chodzi o miejsce, w którym teraz jesteśmy. Ale... właściwie nie

powinienem o tym mówić.

—

Co to znaczy? — zdziwiła się Nikola.

W tej samej chwili w ciemnym kącie gabinetu otworzyły się jakieś drzwi.

—
Panie i panowie... — rozległ się głos syna pani Jaśminy. — Leon chciał powiedzieć, że będzie lepiej, jeśli wszystko wyjaśnię wam ja.

Syn pani Jaśminy trzymał w rękach tacę z imbrykiem na herbatę i siedmioma filiżankami w kwiatki. Miał na sobie wspaniały garnitur i nawet kieszonkowy zegarek. Za nim szła jego matka z gorącym jeszcze ciastem.

Rozdział smy

-
Pojawienie się matki i syna, i towarzyszący im zapach wanilii, trochę uspokoiły obecnych. Herbata i ciasto wylądowały na stoliku i wszyscy natychmiast się nimi podzielili, nie przestając jednak przy tym ani na chwilę wydawać okrzyków zdumienia.

—
Panie Ludwiku... co to ma znaczyć?

—
Po co nas pan tu wezwał?

—
I to na dodatek w taki sposób?

—
Gdzie jesteśmy?

—
To mieszkanie na pierwszym piętrze, tak?

—
O co w tym wszystkim chodzi?

—
Proszę państwa! — zawołał syn pani Jaśminy, gdy wreszcie udało mu się dojść do głosu. — Czas na wyjaśnienia!

—
W rzeczy samej...

—
Nareszcie!

Syn pani Jaśminy wyciągnął przed siebie ręce, prosząc o ciszę. - Po kolei! Spokojnie!

Mamo, jeśli możesz. ..

Pani Jaśmina wyciągnęła z kieszeni fartucha plan kamienicy w zaułku Woltera i

rozłożyła go na stole. Był pożółkły i trochę zniszczony, ale zgromadzeni lokatorzy od razu rozpoznali na nim swoje mieszkania. Całe pierwsze piętro było zaznaczone na

zielono, z dopisanym nazwiskiem „D a r b o n ”.

—
Wszystko zaczęło się od tego starego planu kamienicy — rozpoczął syn pani

Jaśminy. — I od tego, że

Zielony gabinet

jestem administratorem budynku. Jak wiecie, pierwsze piętro było od zawsze

zamknięte, a jego właściciele są bardzo tajemniczy. Ta tajemnica trwała aż do

ubiegłego roku, kiedy musiałem uzyskać zgodę wszystkich lokatorów na przebudowę

poddasza, żeby mogła tam zamieszkać rodzina Kabore.

Adwokat i Leon skinęli głowami.

—
Znalazłem ten plan w księgach wieczystych Paryża i zobaczyłem, kto jest

wskazany jako właściciel: Gustaw Darbon. Proszę zauważyć, że plan pochodzi z roku 1899.

—
Nie patrzcie na mnie — zażartował pan Ferdynand. — Mam siwą brodę i wąsy,
ale to nie znaczy, że byłem wtedy na świecie.

Syn pani Jaśminy uśmiechnął się. — Gdy pokazałem plan Leonowi, obaj zadaliśmy
sobie to samo pytanie: kim był Darbon? A ponieważ lubimy bawić się w detektywów,
zrobiliśmy małe śledztwo.

-
I co odkryliście, na litość boską? - sapnął z niecierpliwością Wiktor, który nie
mógł się już doczekać wyjaśnienia tej historii.

-
Darbon był najsłynniejszym detektywem w historii Paryża — odpowiedział
syn pani Jaśminy. — Najsłynniejszym po komisarzu Maigrecie, oczywiście. Tyle że
komisarz Maigret jest postacią fikcyjną. Natomiast Darbon... miał w tym pokoju swój prywatny
gabinet!

Wf i

Zielony gabinet

-
Największy detektyw Paryża... miał tu swoją siedzibę?! Dreszcz przebiegł po plecach rodzeństwa,
które przycisnęło się jedno do drugiego.

Powstaje

klub

0 detektywów

—
Nie będę was zanudzał szczegółami, szkoda teraz na to czasu — ciągnął syn

pani Jaśminy, gdy ucichło poruszenie wywołane jego rewelacją. — Jest już późno, a dwoje naszych
przyjaciół... musi wcześniej rano wstać do szkoły.

Rodzeństwo prychnęło ze złością. Syn pani Jaśminy to zawsze musi czymś zaskoczyć.

—
Powiem wam tylko, że dotarliśmy do Darbona i jego spadkobierców dzięki komputerowym talentom Leona. Prawda?

-
No, to nie było takie trudne! Wystarczyło poszperać w internecie... eee, to znaczy wpisać w wyszukiwarkę... Krótko mówiąc, trzeba było być cierpliwym i mieć trochę szczęścia!

-
Szczęścia mieliśmy na tyle, żeby odkryć, że...

Rozdział ósmy

Darbon nie ma spadkobierców. —W takim razie, kto płaci czynsz? — On sam.

-Jak to?

—
To znaczy, że żyje?

—
Niemożliwe! Miałby ponad sto lat!

—
Dla mnie to już chyba za wiele, moi państwo! Chciałem dzisiaj tylko zagrać w karty, a tymczasem...

—
Niech się pan uspokoi, Wiktorze! - przerwał mu mecenas Ferdynand. —

Pozwólmy mówić chłopakowi. Ta sprawa zaczyna mnie ciekawić.

—
Jeśli spodziewa się pan recepty na długowieczność, mecenasie, muszę pana rozczarować — powiedział z uśmiechem syn pani Jaśminy. — Ale z pewnością jest w tym zagadnienie prawne, które może pana zainteresować. Cóż, drodzy państwo, to oczywiste, że detektyw Darbon umarł, i to wiele lat temu. Ale zostawił testament. Testament spisany jak należy, własnoręcznie, w obecności dwóch świadków oraz adwokata z kancelarii prawnej Legrand & Lacroix.

—
Znam ją! — zawołał mecenas. — To bardzo stara kancelaria. Zresztą świetnie sobie radzi także obecnie.

—
W rzeczy samej. Darbon powierzył jej zarządzanie swym majątkiem zgodnie z pozostawioną instrukcją. Wśród wielu jej punktów są dwa, które nas interesują...

—
To znaczy, które pana interesują — wtrącił kwaśno Wiktor.

Powstaje klub detektywów

—
Nie, nie. Które interesują nas wszystkich. Pierwsze zalecenie Darbona dotyczy obowiązku opłacania wszelkich kosztów związanych z tym mieszkaniem...

—
To dlatego rachunki zawsze się zgadzały — przerwała Nikola. Wszyscy spojrzeli na nią.

—
Tak jest, panno Gaillard! — pokiwał głową syn pani Jaśminy.

—
Panna Gaillard! — zachichotał Simon.

—
...Natomiast drugie zalecenie jest zdecydowanie ciekawsze — mówił dalej

antykwariusz. — Cóż, wszyscy znacie moją namiętność do zagadek kryminalnych.

Uwielbiam kolekcjonować przedmioty związane z pracą detektywa. Mam już pęsetę

do pobierania dowodów, laski z ukrytymi wewnątrz sztyletami, parasole z mikro-

nadajnikami, sprzęt szpiegowski z lat 50., podręczniki samoobrony i poradnik, jak śledzić na odległość...

—
O rany, gdybyśmy tylko wiedzieli wcześniej! — westchnęła pod nosem Nikola.

—
Ale oczywiście nie tylko ja pasjonuję się wszystkim, co tajemnicze — ciągnął

syn pani Jaśminy. — Moja matka przeczytała wszystkie przygody Sher-locka

Holmesa i innych detektywów niemal z całego świata, jeszcze zanim się urodziłem. I plotki z okolicy zna jak nikt...

—
Zapomina pan o mojej wścibskiej żonie — wtrącił adwokat ku rozbawieniu

zgromadzonych.

—
A otóż i pan Ferdynand — kontynuował syn pani

Rozdział ósmy -

Jaśminy, zwracając się ku niemu. — Nie trzeba przypominać, jaki zawód wykonywał

jeszcze przed kilkoma miesiącami i jak bardzo jego życie jest związane ze światem policyjnych dochodzeń. Mecenas Ferdynand zna zagadnienia prawne, procedury,

adwokatów i sędziów lepiej niż ktokolwiek w mieście.

—
Ależ doprawdy... przesadza pan - odrzekł skromnie stary adwokat.

Ale syn pani Jaśminy dopiero się rozpędzał.

-1 na tym nie koniec, przyjaciele. Wszyscy znacie talenty Wiktora. Ale pewnie tylko kilku z was wie, że zanim wstąpił on w szeregi słynnej poczty francuskiej...

—
Tylko pan spróbuj! — krzyknął Wiktor, zrywając się na równe nogi.

Ale młodzieniec nie zważał na niego i kontynuował: — Zanim to się stało... Pan

Wiktor obracał się w... że tak powiem... najtajniejszych i najbardziej nieuchwytnych kręgach naszego miasta. Kręgach tych, którzy... działają nocą.

—
Inne czasy, inne życie — stwierdził czerwony na twarzy Wiktor.

—
Potem mamy Leona... — podjął syn pani Jaśminy. — Niewielu tak dobrze posługuje się sprzętem komputerowym. Ale przede wszystkim niewielu może się pochwalić takim talentem artystycznym i takimi zdolnościami matematycznymi.

Leon spojrzał błagalnie na Nikolę i Simona, jakby mówił: „Tylko nie wygadajcie się, jakie mam oceny z matmy!”.

—
I wreszcie dwoje młodych Gaillardów. Najważniejsi czytelnicy powieści

kryminalnych, jakich kiedykolwiek poznałem, a przy tym dzieci nadkomisarza policji i pani Walentyny - dodał z niedosłyszalnym westchnieniem.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, którą w końcu przerwał Wiktor.

—
No dobrze, wszyscy czytamy Kinga Ellertona i lubimy policyjne historyjki, ale

nadal nie rozumiem, dlaczego znaleźliśmy się tutaj, w mieszkaniu detektywa, który nie żyje prawie od

100 lat.

—

To bardzo proste, Wiktorze. Zgodnie z drugim warunkiem wymienionym w testamencie, ten gabinet, a także pozostałe pokoje mieszkania, archiwum, książki i sprzęty Darbona, mogą być swobodnie używane przez każdego detektywa, który ma taką potrzebę!

—

Ludwiku... — wyjąkał osłupiały pan Ferdynand.

—

Nie chcesz chyba powiedzieć, że... - zaczęła Ni-kola z błyszczącymi oczami.

Syn pani Jaśminy popatrzył na wszystkich z nieukrywaną satysfakcją. — Zostaliście zaproszeni dzisiejszego wieczoru, aby zorganizować... — tutaj młodzieniec spojrział znacząco na swoją matkę.

Z kieszeni fartucha pani Jaśmina wyciągnęła tym razem żółtą teczkę, tę samą, którą jej syn niedawno

Rozdział ósmy

przeglądał. Syn pani Jaśminy pośpiesznie wyjął z niej jedną kartkę (którą schował do kieszeni), a pozostałe kartki podał obecnym.

W pokoju zawrzało.

—

Klub siedmiu detektywów?

—

Klub z dreszczykiem?

—

Grupa tropicieli?

—

Spółka detektywistyczna z zaułka Woltera?

-Yyy...

Wszyscy zgodnie uznali, że potrzeba im lepszej nazwy.

Syn pani Jaśminy, dotąd panujący nad sytuacją, trochę się zmieszał.

—

To tylko pierwsze pomysły... wydawało mi się, że brzmią nieźle.

—

Chce nas pan wciągnąć w jakiś cyrk? — wreszcie odzyskał głos oniemiały dotąd Wiktor.

—

Praktycznie rzecz ujmując... proponuje nam pan zawiązanie czegoś jakby...

spółki detektywów-a-matorów? I wykorzystanie tego lokalu jako siedziby? -zapytał z właściwą sobie ścisłością mecenas Ferdynand.

—

Coś w tym rodzaju — przyznał młodzieniec, dopiero teraz opadając na fotel.

Rozpętała się burzliwa dyskusja. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, niektórzy

nawet zrywali się z foteli. Nikola i Simon byli tak przejęci usłyszczanymi rewelacjami, że ledwo mogli usiedzieć na miejscu.

Powstaje klub detektywów

-

Powiem tak: pod warunkiem, że nie dowiedzą się o tym inni lokatorzy,

uznałbym to za dobry pomysł — wyraził w końcu swoje zdanie adwokat.

Oświadczenie to padło tak niespodziewanie, że wszyscy naraz umilkli.

-

Dobry pomysł z fatalną nazwą — zauważył Leon.

-

Nazwę się zmieni, a reszta... ten niesamowity gabinet... z całym sprzętem

Darbona i tym, który zebrał syn pani Jaśminy... W sumie — czemu nie? Jesteśmy

inteligentnymi ludźmi. Jedni mają więcej doświadczenia, drudzy mniej, ale...

możemy być niezłą drużyną! — adwokat wyraźnie cieszył się myślą o powrocie do prawdziwego życia.

-

Świetnie, Ferdynandzie! — zawołał Simon zupełnie jakby pan Janvier był jego

kolegą z boiska. Ni-kola spojrzała na brata ze zgrozą: tylko on mógł się odezwać w taki sposób do Białego Gołębia!

-

A zresztą... ostatecznie nie robimy przecież nic złego. Jesteśmy po prostu...

amatorami. I syn pani Jaśminy ma rację: mamy umiejętności, które dobrze się

uzupełniają! — dodał mecenas z werwą godną starych dobrych czasów.

-

I mamy ciasto do zjedzenia, kiedy skończymy dyskusję! — przypomniała pani

Jaśmina.

-

Ale dlaczego trzymać wszystko w tajemnicy przed innymi lokatorami? —

zapytał Leon, który nienawidził krętactwa.

Rozdział ósmy

— Oszczędzimy sobie komplikacji. Poza tym nikt nie chciałby mieszkać w

kamienicy, w której działa klub zwariowanych miłośników zagadek kryminalnych.

No i... w grę wchodzi też nasza wiarygodność

Mogło się zdawać, że pomysł z klubem wyszedł od niego, tak go bronił.

—

Zgadzam się! — oświadczył Simon. — Gdyby mama się dowiedziała, od razu by nam zabroniła.

—
Racja — potwierdziła Nikola. — Już teraz nie lubi, gdy pytamy tatę o jego śledztwa...

Wiktor wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po perskim dywanie. — Klub detektywów, powiadacie...? Do którego będziemy musieli wchodzić przez kominek?

—
Wcale nie. Mam klucze od mieszkania — odpowiedział syn pani Jaśminy. — Ale wydawało mi się, że za pierwszym razem tak będzie bardziej... tajemniczo.

—
Fakt, przejście przez piwnicę mniej rzuca się w oczy — dodał Leon.

—
A między jedną a drugą zagadką do rozwiązania możemy tu rozegrać sobie w spokoju małą partyjkę... — zachichotała pani Jaśmina.

—
Ja głosuję za wchodzeniem zawsze przez piwnicę! — oświadczył Simon, który uwielbiał sekretne przejścia.

—
Przykro mi, ale mój płaszcz głosuje za zwykłymi — wyjaśnił mecenas.

Rozdział ósmy

— Oszczędzimy sobie komplikacji. Poza tym nikt nie chciałby mieszkać w kamienicy, w której działa klub zwariowanych miłośników zagadek.'kryminalnych.

No i... w grę wchodzi też nasza wiarygodność

Mogło się zdawać, że pomysł z klubem wyszedł od niego, tak go bronił.

—
Zgadza się! — oświadczył Simon. — Gdyby mama się dowiedziała, od razu by nam zabroniła.

—
Racja — potwierdziła Nikola. — Już teraz nie lubi, gdy pytamy tatę o jego śledztwa...

Wiktor wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po perskim dywanie. — Klub detektywów, powiadacie...? Do którego będziemy musieli wchodzić przez kominek?

—
Wcale nie. Mam klucze od mieszkania — odpowiedział syn pani Jaśminy. —

Ale wydawało mi się, że za pierwszym razem tak będzie bardziej... tajemniczo.

—
Fakt, przejście przez piwnicę mniej rzuca się w oczy — dodał Leon.

—
A między jedną a drugą zagadką do rozwiązania możemy tu rozegrać sobie w spokoju małą partyjkę... — zachichotała pani Jaśmina.

—
Ja głosuję za wchodzeniem zawsze przez piwnicę! — oświadczył Simon, który uwielbiał sekretne przejścia.

—
Przykro mi, ale mój płaszcz głosuje za zwykłymi
— wyjaśnił mecenas.

Powstaje klub detektywów

-

drzwiami — sprzeciwił się od razu mecenas Ferdynand.

-

Klub zagadki! - powątpiewał znowu Wiktor. - Jaki sens ma tworzenie klubu zagadki, jeśli nie ma żadnej zagadki do rozwiązania?

—

Prawdę mówiąc... — uśmiechnął się syn pani Jaśminy i spojrzał na młodych Gaillardów. - Zagadka się znajdzie. Z podwójnym morderstwem przez otrucie i głównym podejrzanym, który omal nie zginął pod kołami samochodu. Dobrze mówię, dzieciaki?

Rodzeństwu z emocji zaschło w gardłach. Simon pierwszy odważył się odezwać. —

Taaak... Sami widzieliśmy... Wszystko stało się tak szybko! To znaczy, to było tak...

Siedzieliśmy z Nikolą w naleśnikami Petit Canard, kiedy Marceli Dumont, zaczął wymachiwać rękami i...

Rodzeństwo ze szczegółami opowiedziało całą historię, a pozostali od czasu do czasu zadawali pytania — wszystkie bardzo trafne.

Syn pani Jaśminy patrzył na nich z satysfakcją, robiąc notatki na swojej kartce, na której już wcześniej zdążył zapisać: „Paryż, zaułek Woltera nr 11. Klub tymczasowo bez nazwy. Protokół nr 1: «Sprawa butelki z zatrutym cydrem»”.

Gdy było już dziesięć po dziesiątej i dzieciaki musiały zmykać do domu,

antykwarisz spytał wszystkich: — I jak, co o tym myślicie?

Rozdział ósmy

—

Mógłbym spróbować zasięgnąć jutro języka w sądzie... — zastanawiał się adwokat.

—
A ja wypytam kilka osób na targu — zgłosiła się pani Jaśmina. - Ulica

Charlot... chyba znam krawcową, która ma tam pracownię.

—Ja poszukam informacji o właścicielach kamienicy — postanowił Leon.

—
A zatem... mówicie „tak”? - zapytał nieco drżącym głosem syn pani Jaśminy.

Wszyscy powiedzieli „tak”. Nawet listonosz Wiktor, sapiąc i wzdychając, przytaknął skinieniem głowy.

Klub zagadki z zaułka Woltera, jakkolwiek miałby się nazywać, został utworzony.

Następnego dnia Nikola i Simon wybiegli ze szkoły jak tylko zadźwięczał ostatni dzwonek, i szybko wsiedli do metra na stacji Filles du Calvaire w dzielnicy Marais.

Jechali do sądu.

—
Widzisz go? — spytała dziewczyna od razu, gdy wyszli z tunelu metra.

-
Pana Ferdynanda czy sąd?

—
Sąd... to pewnie będzie ten groźnie wyglądający budynek po drugiej stronie fontanny. A mecenas Ferdynand...

Dystyngowany starszy pan, który czytał gazetę oparty o latarnię kilka kroków od nich, podniósł nagle głowę i pomachał im.

-
Cześć, Ferdynandzie! — zawołał na powitanie Simon.

Śledztwo:

czas - start!

Następnego dnia Nikola i Simon wybiegli ze szkoły jak tylko zadźwięczał ostatni dzwonek, i szybko wsiedli do metra na stacji Filles du Calvaire w dzielnicy Marais.

Jechali do sądu.

—
Widzisz go? — spytała dziewczyna od razu, gdy wyszli z tunelu metra.

—
Pana Ferdynanda czy sąd?

—
Sąd... to pewnie będzie ten groźnie wyglądający budynek po drugiej stronie fontanny. A mecenas Ferdynand...

Dystyngowany starszy pan, który czytał gazetę oparty o latarnię kilka kroków od nich, podniósł nagle głowę i pomachał im.

—
Cześć, Ferdynandzie! - zawołał na powitanie Simon.

Rozdział dziewiąty

—
Dzień dobry, panie mecenasie... — odezwała się Nikola, która bardziej dbała o dobre maniery.

Emerytowany adwokat opuścił gazetę. Miał na nosie eleganckie okulary, a jego broda i siwe włosy były starannie ułożone.

-
Czytaliście? - zapytał, podając im „Le Monde”.

—
Nie, dopiero wyszliśmy ze szkoły.

-
Gazety można kupić także przed lekcjami. Sprzedają je od rana.

Nikola pośpiesznie przerzucała strony. — Co mamy przeczytać?

Ksiązę sali sądowej wskazał im krótką notkę na jednej ze stron z wiadomościami lokalnymi.

-, „Zabójstwo Blochów. Aresztowano zadłużonego lokatora...” — przeczytała dziewczyna. — O nie! Przymknęli Marcelego!

Mecenas Ferdynand wzruszył ramionami. — Właściwie informacja nie jest precyzyjna. Aresztowanie Marcelego Dumont'a to zwyczajna procedura — tak się robi, żeby nie pozwolić podejrzanemu uciec. Dowiedziałem się już co nieco: chcą go po prostu przesłuchać i zrobią to niedługo, o godzinie trzynastej w sali numer 13.

-
O trzynastej w sali numer 13? Ciekawe, czy przyniesie mu to pecha, czy szczęście?

—
Szczęście nie zależy od liczb, mój chłopcze, tylko od dobrego adwokata - stwierdził Janvier. Przygła-

Śledztwo: czas - start!

-
dził swą siwą czuprynę i wskazał kafejkę na rogu placu, ze stolikami wystawionymi na zewnątrz. — Jesteście głodni? Mamy jeszcze kwadrans, zaraz powinna przyjść

pani Jaśmina z wieściami z targu.

—
Nie wiem jak Nikola, ale ja to bym chętnie coś przekąsił!

No to jest nas dwóch.

Pani Jaśmina dołączyła do nich w chwili, gdy Simon i pan Ferdynand wgrzali się w swoje bagietki. Przywitała się, spojrzała na obie kanapki i od razu oceniła: — Tatar, tuńczyk, pikle i oliwki dla mecenasa... Ser pleśniowy, szynka i cykorja dla małego Gaillarda.

—
Jeden zero dla pani Jaśminy — potwierdził z uśmiechem mecenas.

Starsza pani położyła pod stolikiem siatki z zakupami, pękające od warzyw i innych smakowitych rzeczy, po czym zamówiła kieliszek białego wina.

—
A pani była w sklepie rybnym.. — Nikola poczuła charakterystyczny zapach morza, unoszący się z niebieskiej torebki.

—
Na stoisku z ostrygami — sprecyzowała pani Jaśmina, potrząsając torebką.

—
Jakieś odkrycie, pani Jaśmino?

—
Właśnie przy tym stoisku - uśmiechnęła się w odpowiedzi. — Ale w zamian za informację musiałam kupić dwa tuziny.

Rozdział dziewiąty

-
Prawdziwe poświęcenie — teraz adwokat się uśmiechnął.

-
Niech nam pani opowie! — prosił Simon.

-
Mam dobre i złe wiadomości... — powiedziała z wahaniem pani Jaśmina.

-

Proszę zacząć od złych.

Starsza pani rozejrzała się dokoła, jakby chciała się upewnić, że nikt nie podsłuchuje.

Potem zaczęła: — Zła wiadomość jest taka, że prawie nikt nie zna Marcelego.

Wygląda na to, że jest skryty i samotny, trochę nawet dziwak, jak mówiła Nikola.

Zawsze jest mrukliwy i zgorzkniały... Chyba myśli, że los go prześladowuje. Stracił pracę z powodu pecha, nie ożenił się z powodu pecha, nie ma przyjaciół z powodu pecha...

-

A gdzie pracował?

-

W drukarni Huberta, robił plakaty i ulotki reklamowe. Drukarnia jest przy ulicy

Pierre Chapon.

Nikola zapisała nazwę w komórce. — A czemu nie ma pracy?

-

Jeszcze nie wiem. Pewnie wystarczy iść do drukarni i spytać.

-

Są jeszcze jakieś złe wiadomości?

-

Raczej nie... - odpowiedziała pani Jaśmina. - Marceli jest bardzo systematyczny i zorganizowany. Robi zakupy zawsze przy tych samych stoiskach. Jednym z nich jest właśnie to z ostrygami. Gracjan, wła-

Rozdział dziewiąty

—

Prawdziwe poświęcenie — teraz adwokat się uśmiechnął.

—
Niech nam pani opowie! — prosił Simon.

—
Mam dobre i złe wiadomości... — powiedziała z wahaniem pani Jaśmina.

—
Proszę zacząć od złych.

Starsza pani rozejrzała się dokoła, jakby chciała się upewnić, że nikt nie podsłuchuje.

Potem zaczęła: — Zła wiadomość jest taka, że prawie nikt nie zna Marcelego.

Wygląda na to, że jest skryty i samotny, trochę nawet dziwak, jak mówiła Nikola.

Zawsze jest mrukliwy i zgorzkniały... Chyba myśli, że los go prześladowuje. Stracił pracę z powodu pecha, nie ożenił się z powodu pecha, nie ma przyjaciół z powodu pecha. ..

—
A gdzie pracował?

—
W drukarni Huberta, robił plakaty i ulotki reklamowe. Drukarnia jest przy ulicy Pierre Chapon.

Nikola zapisała nazwę w komórce. - A czemu nie ma pracy?

—
Jeszcze nie wiem. Pewnie wystarczy iść do drukarni i spytać.

—
Są jeszcze jakieś złe wiadomości?

—
Raczej nie... — odpowiedziała pani Jaśmina. — Marceli jest bardzo

systematyczny i zorganizowany. Robi zakupy zawsze przy tych samych stoiskach.

Jednym z nich jest właśnie to z ostrygami. Gracjan, wła-

Śledztwo: czas - start! -

ściciel stoiska, mówi, że to koneser i że zawsze sam wybiera ostrygi, jedną po drugiej. Od kiedy Marceli nie ma pracy, Gracjan czasami daje mu te, których nie sprzedał przed zamknięciem.

„Koneser ostryg” — zanotowała Nikola.

—

Zawsze powtarza, że ostrygi w Paryżu nie są takie jak w jego rodzinnym Cancale w Bretanii, niedaleko Saint-Malo.

—

Ostrygowa stolica - podkreślił adwokat. — Wszystko się zgadza.

—

Zgodzi się jeszcze lepiej, gdy się dowiecie, że Marceli lubi jadać ostrygi nie tak, jak to się zazwyczaj robi, z kroplą cytryny, ale same, bez niczego... popijając cydrem.

—

Cydr... cydrem otrul właściciela kamienicy i jego żonę! — zawołał natychmiast Simon.

—

No właśnie. On jest wielkim amatorem cydru.

„Ostrygi i cydr” — zapisała dokładna jak zwykle

Nikola.

—

Nic w tym dziwnego, ale... — zauważył adwokat — skoro my dowiedzieliśmy

się o tym na targu, to znaczy, że fakt jest powszechnie znany.

—

Co pan chce przez to powiedzieć, Ferdynandzie?

—

Nic takiego... tylko głośno myślałem — odparł adwokat, skubiąc wąsy.

—

Dobra wiadomość jest taka, że Marceli jest bardzo uczciwy. Zawsze płaci za

wszystko od razu i ni-

Rozdział dziewiąty

-

gdy nie kupuje na kredyt, nawet po utracie pracy, kiedy przecież nie ma zbyt dużo pieniędzy - ciągnęła pani Jaśmina. — Za to parę razy wściekał się na zbyt wysokie ceny, krzycząc, że człowieka nie stać już nawet na kupno jedzenia.

—

Kiedy zobaczyliśmy go pierwszy raz, zrobił awanturę o kilka kielbasek -

przypomniał Simon. -Pewnie też chodziło o cenę.

—

I nie słyszałam, żeby był w złych stosunkach z właścicielem kamienicy —

opowiadała dalej pani Jaśmina. — W każdym razie na targu nikt nic o tym nie wie. A zazwyczaj jest tak, że jeśli jakaś informacja nie trafi na targ, to znaczy, że nie ma jej w powszechnym obiegu. Ale najlepsze czego się dowiedziałam to to, że alibi

Marcelego wygląda na prawdziwe.

—

Naprawdę?

—

Tak. Tego popołudnia, gdy zginęli pan i pani Bloch, Marceli był na targu.

—
O której godzinie?

—
Około piątej po południu.

—
Blochowic zginęli ponad godzinę później.

—
Ale potrzeba więcej niż pół godziny, żeby dojść na piechotę z targu na ulicę Charlot.

—
Metrem dużo mniej.

—
Rowerem też — dodała Nikola — a Velib, sieć rowerów do wynajęcia, ma punkty w całym mieście.

—
To nie jest alibi, które mogłoby się utrzymać

Śledztwo: czas - start!

w sądzie — podsumował mecenas. — Ale nie sądzę, żeby mając tak mało pieniędzy,

Marceli jechał metrem, które kosztuje przecież całe euro za przejazd, czyli dwa tam i z powrotem. Ani żeby miał kartę kredytową, potrzebną do wynajęcia roweru...

Jednak gdyby faktycznie był o piątej na targu i spędził tam tylko piętnaście minut, mógłby wrócić do domu w samą porę, żeby się rozprawić z małżeństwem Blochów.

—
Ale mógł też chodzić od stoiska do stoiska, jak zwykle - podsunęła pani

Jaśmina.

—
Kupił ostrygi? — zapytał adwokat.

—
Był przy stoisku, obejrzał je, zamienił parę słów z Gracjanem i poszedł sobie.

—
Gracjan powiedział pani, jakie odniósł wrażenie? To znaczy... czy Marceli wydał mu się jakiś inny? Zdenerwowany, radosny, zmartwiony?

Pani Jaśmina pokręciła głową. — Nie zauważył nic niezwykłego.

—
Kłótlivy drukarz z prowincji, miłośnik ostryg i cydru, uczciwy i nieznośny, traci pracę i przyjaciół, morduje właściciela kamienicy i jego żonę sknerę, wścieka się na swojego pecha... — zamyślony adwokat streścił całą historię:

—
Hmm... jest jeszcze coś ważnego — zwróciła uwagę pani Jaśmina. — Na targu wszyscy współczuli Marcelemu: nie dość, że mieszkał sam, to jeszcze jego

Rozdział dziewiąty

najlepszy przyjaciel zmarł niespodziewanie miesiąc temu.

—
Znamy nazwisko tego przyjaciela? — zapytał pan Ferdynand.

Pozostała trójka spojrzała po sobie.

-Nie.

—
Trzeba się dowiedzieć. To się może przydać.

—
Przyjaciel? Gdzieś to już słyszałam... — szepnęła Nikola do brata. — Wiem!

Pamiętasz, co mówił Marceli, kiedy przybiegliśmy do niego po wypadku?

—

Tak! Mamrotał: „Najpierw mój najlepszy przyjaciel, a potem właściciele kamienicy...”.

Adwokat spojrział na zegarek. — Jeżeli chcemy zobaczyć Marcelego, musimy się pośpieszyć.

Pani Jaśmina sięgnęła po portmonetkę, ale pan Ferdynand, jak przystało na dżentelmena w starym stylu, położył rękę na jej dłoni. — Proszę nawet o tym nie myśleć. Wszystko już zapłacone.

Podążając za mecenasem w stronę gmachu sądowego, Nikola i Simon rzucali dookoła zaciekawione spojrzenia. Wydawało się, że sąd został zbudowany specjalnie w taki sposób, żeby onieśmielać: prowadziły do niego niekończące się marmurowe schody, ze stopniami zbyt niskimi, żeby wchodzić po jednym, i zbyt wysokimi, by przeskakiwać dwa naraz. Po przekroczeniu podwójnej bramy wchodziło się do gigantycznego holu, gdzie słychać było echo stukotu obcasów o błyszczący marmur i wiele prowadzonych naraz rozmów.

Simon jeszcze nigdy nie widział tylu identycznie ubranych mężczyzn — wszyscy byli w ciemnych garniturach i krawatach. Nikola rozglądała się dokoła trochę wystraszona. Adwokat pędził naprzód, a dookoła na jego widok słychać było:

—

Dzień dobry...

—

Witamy z powrotem, panie Ferdynandzie...

—

Jak miło pana widzieć...

Wszyscy witali go uprzejmie, a mecenas odpowiadał wciąż z takim samym zdawkowym uśmiechem.

Pokonali bardzo długi korytarz, wyminęli kolejkę czekających na windę i wsiedli do innej, przeznaczonej tylko dla pracowników. Kiedy wjeżdżali na górę, mecenas zaczął pogwizdywać.

Wysiedli, skręcili w prawo, a potem weszli do jakiejś starej i ponurej sali.

—
Siadajcie tam — polecił adwokat, kierując rodzeństwo w stronę krzywych i trzeszczących ławek.

Siedząc w milczeniu, brat i siostra obserwowali sędziego oraz żandarmów, którzy pełnili straż przy jedynych, bardzo wysokich drzwiach. Oprócz nich w pomieszczeniu znajdowało się jeszcze pięć osób: dwaj policjanci, pan Marcelli przed stołem sędziego i dwaj adwokaci, którzy dyskutowali ze sobą.

Rozdział dziewiąty

-
.....O nie! To Waldemar! Katastrofa! - westchnął pan Ferdynand. — Nasz przyjaciel naprawdę ma pecha.

Wskazał dzieciakom tłustawego pana, który rozsiadł się obok Marcelego.

—
To zły adwokat? — zapytała Nikola. •

—
Fatalny - szepnął pan Ferdynand.

—
I on ma go bronić?

Na to wygląda. Posłuchajmy.

Sędzia głośnym i monotonnym głosem wygłosił przemówienie, z którego dość ciężko było coś zrozumieć. Z grubsza chodziło chyba o to, że przed podjęciem decyzji o przedłużeniu aresztu sędzia chciał zapytać obrońcę pana Marcelego i samego oskarżonego, czy mają coś do dodania.

Mecenas Waldemar odchrząknął i zaczął piskliwym głosem: - Oczywiście, panie sędzio! Mój klient, pan... Bumont...

—

Dumont — sprostował klient.

Pan Ferdynand zasłonił twarz rękami.

—

Dumont, Dumont, chciałem powiedzieć... oświadcza, że nie ma nic wspólnego z tą sprawą... ani z żadnymi innymi sprawami, które zostały mu zarzucone. W szczególności oświadcza... — tu adwokat Dumonta zaczął gorączkowo przeszukiwać swoją wytartą teczkę — .. że nigdy nie był w posiadaniu piły tarczowej, którą... panna Daumal została...

—

Panie mecenasie! — przywołał go do porządku

*

Śledztwo: czas - start! -

sędzia. — Przypominam panu, że rozważamy sprawę Dumont—Bloch. Sala 13.

Otrucie kwasem pruskim.

—

Ach, tak... oczywiście... naturalnie... — bełkotał adwokat, wyciągając z teczki

inny segregator. — W każdym razie, mój klient oświadcza, że nie ma nic wspólnego...

—
Panie Dumont! — uciął sędzia, widząc, że mecenas Waldemar płacze się coraz bardziej. - Czy chce pan coś powiedzieć, nim pański adwokat zdoła sobie przypomnieć linię obrony?

Marceli uniósł głowę. - Co ja mam powiedzieć, panie sędzio? Pech mnie prześladowe, ot co!

—
Zabił pan oboje Blochów?

—
Nie! Nie zabiłem! Nie było mnie nawet w domu, gdy to się zdarzyło! Każdy mógł to zrobić, ja nigdy nie zamykam drzwi na klucz...

—
Zatruł pan butelkę cydru?

—
Dobrze by było! — zawołał Marceli.

—
Mój klient nie chciał oczywiście tego powiedzieć. .. - wtrącił się pośpiesznie przerażony mecenas Waldemar.

—
Chciałem! Chciałem powiedzieć, że żeby zatruć butelkę cydru, dobrze by było

najpierw ją mieć! — zawołał Marceli. — A żeby ją mieć, trzeba ją za coś kupić... A ja od dawna nie mam pieniędzy! Od pięciu miesięcy jestem bez pracy! Nawet nie wiem,

co ta butelka robiła u mnie w domu...

Rozdział dziewiąty

-
Simon pociągnął mecenasza za rękaw. — Słyszał pan? To nie była jego butelka!

—
To on tak twierdzi... — zgłosił wątpliwość ksiązę sali sądowej. —

Niekoniecznie musi to być prawda. W dodatku wiemy, że lubi cydr, więc nie jest wykluczone, że miał jednak jakąś butelkę w domu. Może mu została z dawnych czasów...

-
W sumie racja... - Simon skinął głową.

-
Sądzę, że...

Sędzia uderzył młotkiem w stół. — Cisza, tam w głębi sali! — nakazał. Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na dwójkę młodych ludzi i mecenasa Ferdynanda.

Rozpoznając natychmiast Białego Gołębia, Waldemar zadrżał i poczerwieniał. Co robi tak wielki adwokat na tak banalnej rozprawie? I jeszcze... przyprowadził wnuki?

Marceli nie okazał w żaden sposób, że poznał dwoje dzieciaków, które przysły mu z pomocą, gdy usiłował go przejechać samochód. Siedział z głową zwieszoną nad stołem, czekając na to, co powie sędzia.

A sędzia powiedział, że nie przekonują go ani dowody oskarżenia, ani argumenty obrony i że w celu lepszego wyjaśnienia faktów zarządza przedłużenie aresztu o cztery dni.

—
To znaczy, że Marceli zostanie w więzieniu?

Janvier dał rodzeństwu Gaillard znak, by wyszli z sali. — Zgadza się. Chodźmy już, nic tu po nas.

Sledztwo: czas - start!

—

Ale... nie moglibyśmy pomówić z panem Marcelim?

—

Lepiej nie. Nie teraz, nie przy jego adwokacie.

Pan Ferdynand wypchnął brata i siostrę z sali numer 13. — Poza tym za mało jeszcze wiemy, żeby zadać mu właściwe pytania...

—

Mecenasie Janvier!

Biały Gołąb paryskich sądów wznosił oczy ku niebu. Adwokat Waldemar zdążył go dopaść.

—

Idźcie już, dzieciaki... — szepnął do Nikoli i Simona. — Zobaczymy się na zewnątrz.

Rodzeństwo kiwnęło głowami i pobiegło korytarzem.

—

Waldemar! — zawołał pan Ferdynand, zwracając się do byłego kolegi. —

Jakże mi miło!

Obrońca Marcelego uścisnął mu dłoń. — Cała przyjemność po mojej stronie, mecenasie Janvier. Cała po mojej. Chociaż... przyznam, że jestem zaskoczony.

Zastanawiałem się, co pan tu robi... przecież... taka prosta sprawa...

—

Tak pan uważa, mecenasie? — zapytał pan Ferdynand swoim zwyczajem unosząc do góry brew.

—

O rany, co za miejsce! — zawołał Simon, gdy wyszli z sądu. - W życiu tam

więcej nie pójde! Myślałem, że się uduszę. I ciągle mi się wydawało, że wszyscy się na mnie gapią!

—
To dlatego, że masz nieczyste sumienie — zażartowała siostra.

Simon przeskoczył worek ze śmieciami. — E tam! Nieczyste to są te ulice.

Nikola patrzyła na wejście do sądu, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą

usłyszała. Nagle, przy tej samej latarni, gdzie wcześniej spotkali pana Javie-ra, pojawił się mężczyzna z rowerem.

—
Pan Wiktor? — zapytali jednocześnie brat i siostra. - Co pan tu robi?

Listonosz miał tak samo ponury wyraz twarzy

99

Rozdział dzieiąty

-
jak poprzedniego wieczoru. Ubrany był w pocztowy mundur, z czapką nasuniętą na

czoło tak głęboko, że daszek sięgał niemal czubka nosa. Zdawał się głęboko

zawiedziony widokiem dwójki dzieciaków bez mecenasa Ferdynanda.

—
Ach... to wy... dzień dobry, dzieci — wycedził, jakby każde słowo kosztowało

go wiele wysiłku. -Skończyłem poranną zmianę, a ponieważ... byłem w okolicy,

pomyślałem, żeby... sprawdzić, co słyhać. Pani Jaśmina jest z wami?

—
Poszła pół godziny temu.

—
A... mecenas?

-Jest w środku, w sądzie, rozmawia z jakimś starym znajomym.

Listonosz pokiwał głową, poprawiając parę razy czapkę. Nikola zauważyła, że z kieszeni kurtki wystawał mu zwinięty egzemplarz „Le Monde”.

—
Postanowili zatrzymać Marcelego jeszcze na cztery dni — poinformowała.

Wiktor uniósł twarz podobną do pyszczka fretki. -Aha. - Przez chwilę milczał, po czym zapytał: - A... na sali była też... policja?

—
Paru żandarmów.

—
Mówili coś o śledztwie? To znaczy.....nie wiecie,
czy policjanci... są jeszcze w mieszkaniu Marcelego?

Nikola i Simon pokręcili głowami.

—
Jeżeli pan chce, możemy zadzwonić do taty.

Paryski lis

— Nie! — Wiktor wrzasnął jak oparzony. — Chodziło mi tylko o... to znaczy... ulica Charlot jest nieda-

—
Dwadzieścia minut na piechotę. Pięć na rowerze — potwierdził Simon, kopiąc w tylne koło roweru Wiktora. - O przepraszam! Nie chciałem!

—
Niech pan się na niego nie gniewa, panie Wiktorze — wtrąciła siostra. — Mój brat czasem najpierw coś zrobi, a dopiero potem pomyśli. Simon! Zachowuj się! Bo pan Cormolles...

—
Wiktor - poprawił ją listonosz. - Mówcie do mnie Wiktor, bardzo proszę.

—
Jeśli pan chce, panie... to znaczy... Wiktorze.

—
Mecenas długo tam jeszcze będzie? — dopytywał się Wiktor, wężąc w powietrzu, które zalatywało śmieciami.

—
Skąd mamy wiedzieć? — odpowiedziała Nikola.

—
Aha... to znaczy... a wy dwoje... wszędzie chodzicie razem, co nie?

—
Yyy... No tak... Ale o co panu chodzi, Wiktorze?

—
Umiesz jechać na ramie, chłopcze?

Dziesięć minut później Wiktor i Simon zatrzymali rower przed kamienicą przy ulicy Charlot, gdzie mieszkał pan Marcei. Teraz, kiedy Simon wiedział już, co się tu

wydarzyło, czuł się trochę nieswojo, wracając w to miejsce.

leko...

Rozdział dziewiąty

-
Wiktor przypiął rower do stojaka grubym łańcuchem, po czym wygładził mundur i poprawił czapkę.

—
To ta kamienica? — zapytał pewnym siebie tonem. Spojrzał na tabliczki

domofonu. ->■ Aaaa, jest! „Dumont”!

Weszli do bramy.

—
Ciekawe. Jest portiernia — skomentował Wiktor.

-
Dzień dobry - przywitał się uprzejmie. Wewnątrz budynek wyglądał tak samo
zwyczajnie

jak na zewnątrz.

—
Słucham? — spytała portierka, chuda kobieta o zmęczonej twarzy i nieco
zezujących oczach.

Wiktor wyciągnął z kieszeni rejestr pocztowy i na poczekaniu wymyślił pretekst. -

Przeprowadzamy kontrolę. Mogę pani zająć minutę?

—
Co za kontrolę? - zapytała kobieta, odrywając się na chwilę od krzyżówki.

—
Och, jest straszne zamieszanie... Mnóstwo korespondencji nie dociera do
adresatów — wyjaśnił Wiktor. — Dlatego wysyłają nas na kontrolę nazwisk na
skrzynkach pocztowych, żeby zrobić porządek.

—
A ten to co? - kobieta wskazała na Simona. - Jak nie ma windy, to on biega po
piętrach i sprawdza za mnie nazwiska - Wiktor zrobił przebiegłą minę.

—
Zeby tylko w centrali nikt się nie dowiedział... Portierka odpowiedziała

porozumiewawczym uśmiechem.

Paryski lis

—
To co, możemy się brać do roboty?

—
A bierzcie się...

Wiktor zanotował nazwiska wypisane na domofonie i podał listę Simonowi. - No, chłopcze... pobiegaj sobie i sprawdź, czy wszyscy są! - Simon popędził po schodach, a listonosz oparł się o ścianę. — Młodzież... skąd oni mają tyle energii! Nie to co my, starzy, już prawie nad grobem...

—
Uch! Aleś pan powiedział! — wzdrygnęła się portierka.

—
Jakiś problem?

-Jakże? Zabójstwo tu przecież było. Podwójne!

—
Niemożliwe! — wykrzyknął Wiktor, dając dowód prawdziwego talentu aktorskiego. — Jak to się stało?

Simon wbiegł na pierwsze piętro. Zastanawiał się, czy naprawdę ma zapisać wszystkie nazwiska z tabliczek przy dzwonkach, czy od razu biec pod mieszkanie Marcelego. W końcu postanowił zrobić wszystko porządnie — może portierka będzie chciała sprawdzić? Przechodził od drzwi do drzwi i odhaczał kolejne pozycje na liście Wiktora. •

Schody były typowo paryskie: wąskie i strome, ze śliskimi stopniami i wytartymi poręczami.

Gdy znalazł się na trzecim piętrze, dobiegły go jakieś głosy. Nadstawił uszu. Nagle zastygł w miejscu jak skamieniały. Usłyszał głos taty!

Rozdział dzieiąty

-

—
A śmieci? Sprawdziliście?

—
Prawdę mówiąc... to nie, panie komisarzu.

—
Święci pańscy, Bruno! Dlaczego...

—
Chciałem, panie komisarzu, ale kubel był pusty! Ktoś musiał wynieść worek ze śmieciami.

—
No dobrze... Postaraj się i zobacz, czy da się go odnaleźć. Ja muszę teraz wstąpić do centrali.

—
Taaak jesst, panie komisarzu!

Simon wyjrzał ukradkiem przez barierkę przy schodach. Natychmiast zauważył, że jedno z drzwi na czwartym piętrze były uchylone i otoczone taśmą, jakiej używa

policja do zabezpieczania miejsca zbrodni. Z wnętrza mieszkania dobiegał głos taty, a także trzask fleszów aparatów fotograficznych, szmer rozmów i odgłos kroków. Tego się chłopiec nie spodziewał. Mieszkanie Marcelego było całkowicie zajęte przez

policję!

—
To ja już idę, chłopaki - rzucił pośpiesznie komisarz Gaillard.

Simon zeszytniał z przerażenia. Szybko wychylił się przez barierkę, by rzucić okiem w górę i w dół.

—
Komisarzu Gaillard! Proszę poczekać! Co mamy zrobić z tymi rzeczami?

Głos taty osłabł, jakby oddalił się od drzwi w stronę środka mieszkania. Simon

natychmiast skorzystał z okazji i błyskawicznie pokonał kilka stopni, które dzieliły go od korytarza z uchylonymi drzwiami. Dostrzegł kogoś za nimi i nie chcąc

ryzykować, że

Paryski lis

zostanie przyłapany, biegł dalej w górę, aż wpadł na ostatnie piętro, gdzie było już w miarę bezpiecznie.

-

Naprawdę muszę już wracać do centrali... Przekażcie mi wyniki, jak tylko będą

gotowe. Wystarczy, żebyś znalazł jeden odcisk Dumonta na tej butelce, Bruno, i

zamkniemy sprawę...

Simon zobaczył, jak tata podnosi taśmę i wychodzi z mieszkania.

Komisarz Gaillard wsadził jeszcze głowę z powrotem do środka, żeby wydać ostatnie polecenie: — Sąsiedzi, chłopaki! Przesłuchajcie wszystkich, OK? Chcę mieć raport

na jutro rano. A najlepiej na dziś wieczór! — Po czym zaczął wreszcie schodzić

szybkim i nerwowym krokiem.

Simon pomyślał o Wiktorze, który został na dole. „Kurczę, żeby tylko tata go nie

nakrył!“. Ale z drugiej strony, taki sprytny paryski lis jak Wiktor może jakoś z tego wybrnie...

Począł, aż tata znajdzie się na parterze, i po chwili ostrożnie odkleił się od barierki.

Szybko przejrzał nazwiska na piątym i szóstym piętrze, a potem wrócił przed drzwi mieszkania Marcelego. Lepiej było jednak tam nie zaglądać — mógł go rozpoznać

Bruno, asystent taty. Simon na wszelki wypadek założył kaptur, popędził jak burza schodami w dół.

—
I jak? Załatwione? — zapytał z przejęciem Wiktor, który już czekał przy swoim rowerze.

Rozdział dzieiąty

—
Tak. Widział pan mojego tatę?

—
Minęliśmy się. Na szczęście gliniarzy to ja zawsze wyczuwam... — Wiktor spojrzał na Simona. — Ups, przepraszam. Nie chciałem.

—
W porządku. Ja wiem, że nie wszyscy ich lubią.

—
Nie to miałem na myśli...

—
Ale dowiedział się pan czegoś?

Wiktor zdjął łańcuch, którym przedtem przypiął rower. — Niewiele. W sumie większość już wiedzieliśmy. A ty?

—
W mieszkaniu Marcelego jest cała brygada policji! Cały czas szukają dowodów. Na pewno coś znajdą, w końcu jest ich tak dużo...

—
Wiesz co? Czasami im więcej ludzi się gdzieś kręci, tym mniej z tego wynika...

- zamyślił się Wiktor, poprawiając się na siodełku. — Wsiadasz?

—
Chyba za dobrze nam nie poszło... Jak pan myśli?

—
Hmm, kto wie, chłopcze? Kto wie?

-
Cześć — powiedziała Nikola, stając w drzwiach pokoju na poddaszu.

-
Nikola! — uśmiechnął się Leon. — Co tam?

-
Właśnie wróciłam do domu z panem Ferdynandem.. . Mogę na chwilkę?

-
Jasne, wchodź! Przepraszam za bałagan...

-
W porządku, ja tylko na minutkę...

Leon zaprowadził ją do swej sypialnio-pracowni. Był to duży biały pokój ze skośnie ściętym sufitem, w który otwierało się okrągłe okno z widokiem na Sekwanę.

-
Mówisz, że pan Ferdynand też wrócił do domu? - upewnił się chłopak z Mali, pośpiesznie zrzucając rzeczy z różowej pufy na podłogę, żeby Nikola miała gdzie usiąść.

Drukarnia

—
Cześć — powiedziała Nikola, stając w drzwiach pokoju na poddaszu.

—
Nikola! — uśmiechnął się Leon. — Co tam?

—
Właśnie wróciłam do domu z panem Ferdynandem.. . Mogę na chwilkę?

—
Jasne, wchodź! Przepraszam za bałagan...

—
W porządku, ja tylko na minutkę...

Leon zaprowadził ją do swej sypialnio-pracowni. Był to duży biały pokój ze skośnie ściętym sufitem, w który otwierało się okrągłe okno z widokiem na Sekwanę.

—
Mówisz, że pan Ferdynand też wrócił do domu? - upewnił się chłopak z Mali, pośpiesznie zrzucając rzeczy z różowej pufy na podłogę, żeby Nikola miała gdzie usiąść.

Rozdział y

-
W pokoju słychać było cichy szum co najmniej trzech włączonych komputerów i migotało mnóstwo światełek różnych urządzeń: modemu, routera, wieży, konsoli do gier...

—
Wstąpił jeszcze do antykwariatu, żeby opowiedzieć synowi pani Jaśminy jak było w sądzie... a potem, jak powiedział, musi stawić czoła temu potworowi. Chyba chodziło mu o żonę.

Leon zaśmiał się.

—
A jak było w sądzie?

Nikola opowiedziała mu o rozprawie, po czym zapytała, czy dowiedział się czegoś o właścicielach kamienicy, państwu Bloch.

—
Praktycznie niczego. Nie mają profilu na Face-booku - zażartował chłopak. -

No, ale dopiero zacząłem. Pewnie trzeba czasu, żeby zostać dobrym detektywem ...

Spojrzał na nią z uśmiechem i dziewczyna zaczerwieniła się. Zawsze dobrze się czuła w towarzystwie Leona: lubiła jego spokojny głos i szeroki uśmiech. Lubiła też

słuchać o Mali, gdzie mieszkał, zanim przeprowadził się do Paryża.

—
Wiedziałaś o wszystkim już wcześniej, prawda? — zapytała, patrząc mu w

oczy. — O zebraniu i klubie... I mogę się założyć, że tamtego dnia wcale nie miałeś próby zespołu!

—
Czemu tak myślisz?

Drukarnia

—
Bo próby masz zawsze w czwartki.

Leon zachichotał: — Syn pani Jaśminy miał rację: naprawdę jesteś małym detektywem. I zgadłaś — wiedziałem od paru miesięcy i nie mogłem się doczekać, kiedy wszystko będzie gotowe. A potem, z powodu sprawy Marcelego, musieliśmy się pośpieszyć...

—
A... czy... czy jak postanowiliście założyć ten klub, to od razu pomyśleliście o nas? O mnie i o Simonie? Czy dopiero wtedy... gdy śledziliśmy Marcelego?

—
Żartujesz? — zaśmiał się Leon, dając jej prztyczka w nos. — Myślisz, że moglibyśmy pominąć dwoje najlepszych tropicieli Tajemnicy Miesiąca w kamienicy?

Podniesiona na duchu Nikola uśmiechnęła się i wyciągnęła komórkę z zapisanymi

notatkami. — W takim razie... mogę cię o coś prosić?

-O co?

—

Pójdiesz ze mną na ulicę Pierre Chapon?

—

Oczywiście, a co tam jest?

—

Drukarnia Huberta. Marceli tam pracował, zanim go zwolnili. Chyba dobrze by było ją sprawdzić.

Leon spojrział na migające diody swoich komputerów, pomyślał chwilę i wstał.

Znalazł kurtkę wśród tysiąca rozrzuconych po całym pokoju ciuchów i powiedział:

— Ya, deyel.

—

Co to znaczy?

—

Tak się mówi w moim miasteczku. „Idziemy, pro-

Rozdział y

-

szę pani". Albo, jeśli wolisz: „Idziemy, księżniczko".

Nikola oczywiście wołała to drugie.

Drukarnia była położona poniżej parteru — okna tylko trochę wystawały ponad

poziom ulicy. Była jasno oświetlona i już z daleka słyhać było zgrzytliwy odgłos pracujących w środku maszyn. W zawieszonym nad wejściem szyldzie z napisem

„Hubert" brakowało dwóch pierwszych liter.

—

Jeśli już nawet drukarnia gubi litery, to nie wróży nic dobrego! — zaśmiał się

Leon.

Weszli.

Wewnątrz znajdowały się dwa wielkie pomieszczenia. W pierwszym zalegało

mnóstwo szpargałów i pakunków: wycinki z plakatów, próbne wydruki, stosy tektury, paczki z papierem różnej wielkości. W drugim stały pracujące maszyny, czarne i

masywne, wypluwające jedną po drugiej wielkie kolorowe kartki. W powietrzu

unosił się charakterystyczny zapach farby drukarskiej i panował dość spory hałas.

Pracował tam tylko jeden człowiek, tak zajęty, że spostrzegł Nikołę i Leona dopiero po jakichś pięciu minutach. Zauważywszy ich wreszcie, zatrzymał maszyny i

podszedł bliżej, wycierając w kombinezon zabrudzone farbą ręce.

—

Dobry wieczór! — przywitał się Leon. — Pan Hubert?

Drukarnia

Mężczyzna potrząsnął głową.

-

Nie, Huberta to tu nie było od miesiący. Ja pracuję przy maszynach, ale można

ze mną załatwić wszystko, co się tyczy drukarni.

-

Super.

-

To czym mogę służyć?

-

Chcemy wydrukować plakaty na koncert.

—

Z jakieś sto egzemplarzy... -Jaki format?

—

Standardowy.

—

U nas nie ma standardowego formatu. Wydrukujemy takie, jakie chcecie.

—

To może niech będą takie — Leon wskazał na jeden z plakatów, które przed chwilą wyszły z maszyny-

Mężczyzna kiwnął głową i zaczął szukać długopisu, żeby zapisać zamówienie. -

Macie gotowy plik? Wiecie, w jakim formacie jest potrzebny do druku?

—

Właściwie to przysłał nas pan Marceli Dumont — wtrąciła nagle Nikola.

Po raz pierwszy od początku rozmowy mężczyzna spojrzął na nich z zainteresowaniem.

—

Dumont? Jak on się miewa, stary drań?

—

No... nieźle.

—

Znalazł jakąś robotę?

—

Szuka.

-Ile?

ny.

Rozdział jedenasty

—

Czasy są ciężkie, a on bez pracy... Jeszcze w jego wieku...

—

Właśnie. Prawdziwy pech!

—

On tak zawsze mówił. Powtarzałem mu: „Rób tak dalej, to się doigrasz.

Zobaczysz, w końcu się doigrasz!". No i się doigrał.

—

Doigrał się? Co pan ma na myśli?

Mężczyzna milczał, drapiąc się po głowie. Wziął

papier i długopis i zaczął pisać, jakby nie usłyszał pytania.

—

A tak w ogóle to skąd znacie Marcelego?

Leon i Nikola spojrzeli po sobie i zaczęli jednocześnie:

—

Jesteśmy jego...

—

...siostrzeńcami — powiedziała Nikola.

—

...sąsiadami — powiedział Leon.

—

To znaczy, ja jestem siostrzenicą, a on sąsiadem — podsumowała dziewczyna.

—

Nie wiedziałem, że ma taką miłą siostrzenicę! — zachichotał drukarz. — Sto egzemplarzy, mówicie.

—
Tak, sto — powtórzył Leon.

—
Mówił pan, że... wujek miał się doigrać — nalegała Nikola.

—
No tak, Dumont... Ten Dumont! Jeszcze się nie zdarzyło, żeby zrobił coś bez narzekania. Pewnie znasz to na pamięć, co, dziewczyno? Wiecznie mu wszystko przeszkadza. Jak świeci słońce i jest gorąco

Drukarnia

— to przez dziurę ozonową. Jak pada deszcz i jest zimno — to też przez dziurę ozonową! A w pracy... nie żeby tu w drukarni było za dużo roboty, ale... spokojnie starczy, żeby dwie osoby miały co robić i za co żyć, nawet jak się odliczy pensję właściciela, Huberta. Chcę powiedzieć, że nikt tu nikogo nie chciał zwolnić, ale... jak raz protestujesz, bo chcesz inaczej zorganizować pracę... drugi raz protestujesz, bo masz własne pomysły co drukować, a czego nie... znowu protestujesz, bo właściciel nie chce słyszeć o inwestowaniu w nowe maszyny... To nic dziwnego, że w końcu

Hubert stracił cierpliwość i wyrzucił go na

—
Ale przecież pan Du... yyy, to znaczy wujek... chciał tylko wprowadzić ulepszenia! — zauważyła Ni-kola.

—
O tak, pewnie. Miał swoje zdanie na każdy temat. Przetawić maszyny... pozbyć się starych i kupić jedną nową... zacząć drukować własne ulotki, żeby się zareklamować w okolicy... Ba! Ogłaszać się nawet w Internecie! To wszystko Huberta kompletnie nie interesowało... Gorzej, doprowadzało go do szału!

Leon uśmiechnął się, ale Nikola była zdumiona. Nigdy, przenigdy nie podejrzewałaby Marcelego o taką przedsiębiorczość! Żeby to on chciał unowocześnić drukarnię? bruk!

Rozdział jedenasty -

O, właśnie sobie przypomniałem — powiedział nagle drukarz, rozglądając się dokoła. — Twój wujek odszedł w takim pośpiechu, że zostawił ta swoje rzeczy... Gdzie ja to położyłem? — Mężczyzna przekładał sterty papieru i zaglądał we wszystkie kąty, aż wreszcie znalazł kartonowe pudło z wielkim czerwonym napisem „DUMONT”. - Jest! Chcecie? Bo jeśli Marceli nie przyjdzie zabrać tych szpargałów, w końcu wywalę je na śmietnik!

Może pan nam to dać! — zawołał Leon, odbierając od niego pudło. Mimo sporych rozmiarów było dość lekkie. Szybko przejrzał zawartość: para okularów, długopisy, farby, taśma klejąca i stos kolorowych ulotek.

To jego ostatnie zlecenie w drukarni... — wyjaśnił drukarz, oglądając jedną z nich. Było na niej zdjęcie morza i plaży oraz napis:

Z Albertem podróże Na krócej lub dłużej Ulica Planch-Baronne 17 Parts

Sam wymyślił to hasło. Uważał, że jest genialne... Stary wariat...

Leon odłożył ulotkę do tekturowego pudła. — Na nas już czas — powiedział.

pp s

Drukarnia

To ja czekam na plik z plakatem — przypomniał drukarz. — Tylko nie przynoś

mi niczego na Maca, bo i tak tego nie otworzę, OK? I żebyś nie przyszedł w sobotę, mówiąc, że potrzebujesz na niedzielę, bo ja w sobotę zamykam interes i do

poniedziałku mnie nie ma, choćby się waliło i paliło.

—
Jasne — odpowiedział Leon, biorąc pudło.

-Sto?

—
Sto.

Kiedy znaleźli się na ulicy, usłyszeli jak maszyna drukarska wraca z hałasem do pracy.

Następnego dnia świeciło słońce i świat od razu wydawał się lepszy. Wiadomości w gazetach też były optymistyczne: wreszcie odwołano strajk śmieciarzy, a więc już od najbliższej nocy Paryż miał być z powrotem pięknym i czystym miastem, a nie brudnym i śmierdzącym, jak przez ostatnie dni.

W holu kamienicy Nikola i Simon spotkali panią Jaśminę. Rozmawiała z Wiktorem.

-
Dzień dobry, dzieci!

—
Dzień dobry, pani Jaśmino!

-
Cześć, Wiktorze...

—
Witam młodych Gaillardów...

Wydawało się, że nawet zrzędlivy zazwyczaj listonosz miał dziś dobry humor. Jego

rower stał oparty o ścianę pod skrzynkami na listy.

Rozdział dwnasty

-

—
Coś nowego? — zapytała Nikola.

Dorośli spojrzeli po sobie.

—
Faktycznie, jest coś nowego — oznajmił Wiktor, zwracając ku dziewczynie swój spiczasty nos.

—
Właśnie o tym rozmawialiśmy — dodała pani Jaśmina. .

—
O czym, o czym? Niech nam pani powie!

—
To wszystko przez szkołę — żalił się Simon. — Nie dość, że mamy przez nią dwa razy mniej czasu niż inni, to jeszcze o wszystkim dowiadujemy się ostatni!

—
Och, nie to, żebym odkryła nie wiadomo co! — zaśmiała się pani Jaśmina. —

Zresztą, to wszystko dzięki mojej zapiekance.

—
Ale jakie „wszystko”?

—
A takie, że pani Jaśmina zaprzyjaźniła się z Lizą Monet.

Liza Monet? Kto to jest?

—

Portierka z kamienicy pana Marcelego.

—

O rany! Jak się to pani udało?

—

No, to było łatwe. Tak się składa, że Liza jest mężatką, a jej mąż lubi dobrze zjeść. A wszystkie kobiety wiedzą, że najkrótsza droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek...

Nikola i Simon pokiwali głowami - wiedzieli, o co chodzi pani Jaśminie. Tata wiele razy wracał z pracy wykończony, po czym siadał do stołu, dostawał na

Worek ze śmieciami

kolację jakąś malutką porcją gotowanej zieleniny... i od razu miał gorszy humor.

—

Tak więc przypadkiem... podkreślam: zupełnie przypadkiem... — mrugnęła porozumiewawczo pani Jaśmina.

Nikola zachichotała.

-

.. .natknęłam się na Lizę, akurat gdy wychodziła na zakupy.

-

A jak to pani zrobiła, żeby natknąć się na nią zupełnie przypadkiem?

—

Wystarczy zapytać listonosza — uśmiechnął się z dumą Wiktor. — Listonosze zawsze wiedzą, kiedy portierka jest w pracy, a kiedy nie. To proste: jeżeli jest

portierka, zostawiasz jej pocztę dla lokatorów, a ona rozdziela ją do odpowiednich skrzynek. Jeżeli jej nie ma, musisz to zrobić sam i tracisz co najmniej dziesięć minut.

—
Czyli poszła pani na zakupy razem z Liżą?

-
Dokładnie tak... No, a po drodze przypadkiem zaczęłam mówić o sprawie

Marcelego Du-mont'a, niby że wyczytałam o tym w gazecie... Oczywiście, jak tylko

o tym usłyszała, rozgadała się na dobre: mówiła prawie przez całą drogę. Później, jak już wyszliśmy ze sklepu, wspomniałam o mojej zapiekance, więc zaczęła mnie o nią

podpytywać... No a potem odprowadziłam ją na ulicę Charlot... też podpytując po

drodze o różne rzeczy. - Tu pani

Rozdział dwunasty

Jaśmina na chwilę umilkła. — I zgadnijcie, czego się dowiedziałam?

—
Czego, czego?

Pani Jaśmina nachyliła się i szepnęła do dzieci: — W dniu zabójstwa, około piątej trzydzieści, listonosz z wąsami dostarczył Marcelemu specjalną przesyłkę, w

niebieskim opakowaniu. Liza mówiła mu, że nie jest pewna, czy pan Dumont jest w

domu, ale on się uparł, że wejdzie na górę, na czwarte piętro, i wręczy mu paczkę osobiście.

—
Listonosz z wąsami?

—
Tak — potwierdziła pani Jaśmina.

—
I to właśnie jest niemożliwe! — zawołał Wiktor. — Bo ulicę Charlot obsługuje

mój kolega, Łysy, a on nie ma wąsów. I w ogóle w tej dzielnicy nie ma żadnego

wąsatego listonosza!

Simon pstryknął palcami. — Ha! Wiedziałem, że Marceli jest niewinny! Tamten z wąsami musiał być fałszywym listonoszem!

—
Też tak pomyśleliśmy. Ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

—
Fakt... przynajmniej dopóki nie odkryjemy, kto to mógł być — powiedziała Nikola.

—
No i co było w paczce - dodał jej brat.

—
Sądzę, że do tej pory policja już to odkryła — ostudził ich zapał Wiktor.

—
Może podpytajcie tatę dziś wieczorem? — zasu-

'l' &

Worek ze śmieciami

gerowała pani Jaśmina. - Ale teraz lepiej idźcie już do domu, zanim mama zacznie się zastanawiać, dlaczego spóźniacie się na obiad!

—
Nikola, już wiem!!! - zawołał nagle Simon, gdy oboje z siostrą sprząтали ze stołu. Mama zdążyła już wrócić do telefonu i powtarzała bez końca: „tak”, „oczywiście”, „nie”, „nie sądzę”.

—
Co? - niemal podskoczyła Nikola. — Chcesz, żebyś zawału dostała?! Co wiesz?!

Brat złapał ją za ramię. — Paczka!

—
Co: paczka?

—
Może policja jej jednak nie znalazła... bo nie było jej już w mieszkaniu

Marcelego!

—
Simon! O czym ty mówisz?

—
Patrz! — Chłopak wyrwał kartkę z leżącej na stole gazety i złożył ją na pół. -

Wyobraź sobie, że to jest paczka.

—
To nie jest paczka, tylko strona z działem kulturalnym... i mama się wścieknie

jak zobaczy, co z nią zrobiłeś.

—
Nikola! Nie pleć bzdur, tylko patrz. To jest paczka, w której jest... no, jeszcze nie wiemy, co w niej jest. Ale rozumiesz o co chodzi?

—
No raczej — parsknęła Nikola, siadając za stołem.

—
Teraz wyobraź sobie, że jestem Marcelim. Biorę paczkę, otwieram ją...

zaglądam do środka...

Rozdział nastę

-
Tu Simon wykonał ruch, jakby coś wyciągał i stawiał na stole.

—

W sumie to chyba już wiem, co było w paczce... Ale teraz chodzi o

opakowanie. Jak myślisz: co się stało z pustym opakowaniem... — Simon zgniótł

kartkę gazety w kulkę — jak Marceli już otworzył paczkę?

—

Mama STRASZLIWIE się wścieknie.

Simon westchnął ciężko, podszedł do kosza na śmieci i wrzucił do niego zgnieciony papier.

—

Voilà*.

—

Voilà co? Simon, mów o co ci chodzi!

—

Oj przestań, to oczywiste! Opakowanie od paczki poszło do kosza na śmieci! A

ja słyszałem, jak komisarz Bruno mówił, że w domu nie było śmieci! Ktoś je

wyrzucił wcześniej!

—

Czyli...

—

Czyli opakowania już nie ma w mieszkaniu Marceliego.

—

Ale w takim razie wylądowało na ulicy i znaleźli je ludzie taty... Wielka mi

rewelacja!

—

Wcale nie! Przecież szukaniem kierował Bruno, pomyśl tylko. A poza tym jest

strajk śmieciarzy i musieliby się przekopać przez góry śmieci! Wyobrażasz sobie, jak komisarz Bruno tonie w śmieciach?

—
Yyy, nie, na pewno nie. Nigdy w życiu!

—
No to wreszcie zrozumiałaś.

2 Voilà (fr.) - otóż to, to wszystko.

Worek ze śmieciami

W oczach Nikoli pojawił się błysk. - Ej, ale strajk śmieciarzy jeszcze się nie skończył!

—
No, mówili o tym przed chwilą w telewizji.

-W takim razie...

—
W takim razie bierzemy zatyczki do nosa!

Parę godzin (i kilka telefonów) później Leon, Ni-kola i Simon przeszukiwali już kontenery na śmieci przy ulicy Charlot — wszyscy uzbrojeni w długie gumowe rękawice.

Stary citroen „cytrynka” syna pani Jaśminy stał zaparkowany w poprzek przed śmietnikiem, żeby chociaż trochę ukryć szperaczy przed wzrokiem przechodniów.

—
Błeee!

—
O rany!

—
Ale smród!

—
Bruno na pewno od razu się poddał...

—
Tak, ale my musimy być lepsi — stwierdził syn pani Jaśminy, rozglądając się dokoła. - Musimy działać szybko i naukowo.

—
Szybko to rozumiem, ale naukowo? — skrzywił się Simon.

—
Spójrzcie na te zwały śmieci — syn pani Jaśminy pokazał cuchnący stos, który mieli przed sobą. — Większość stanowią wielkie czarne worki, jakich używa się w restauracjach albo w sklepach.

Rozdział dwunasty

—
OK, to te pominiemy - Nikoli nie trzeba było powtarzać dwa razy.

—
Część leży za daleko od bramy Marcelego. Czyli, logicznie rzecz biorąc, pozostają tylko te - syn pani Jaśminy skierował palec w stronę sterty mniejszych worków w różnych kolorach.

—
Niektóre z nich są za duże jak na osobę żyjącą samotnie — zauważył Leon.

—
Święta racja. Czyli wystarczy, że zabierzemy pozostałe — podsumował syn pani Jaśminy, otwierając bagażnik.

W sumie nocni łowcy wybrali sześć worków.

—
Brawo! Pamiętajcie, żeby wyrzucić rękawice! A teraz uciekamy!

Worek ze śmieciami -

Wskoczyli na siedzenia: Leon z przodu, a dwójka Gaillardów z tyłu.

Syn pani Jaśminy uruchomił z łoskotem silnik starego citroena i jakby nigdy nic wyjechał na ulicę. — Ten smród będzie tu wisiał chyba z rok — poskarżył się ze smętnym uśmiechem swoim pasażerom.

Kwadrans później detektywi z zaułka Woltera ustawili rząd worków na stole w antykwariacie. Cała czwórka założyła nowe rękawice.

—
Żeby wskazać, który z tych worków zawiera śmieci pana Marcelego, należy zastosować metodę naukową — oświadczył syn pani Jaśminy, patrząc na worki jak na zamknięte skrzynie ze skarbem, które otwiera się tylko specjalnym szyfrem. —
Wiemy, że Marceli lubi ostrygi, a ostatniego dnia przed jego aresztowaniem widzieliście, jak kupował kiełbaski. Co jeszcze?

—
W pudle z drukarni były miętowe dropsy — powiedziała Nikola. - Pewnie Marceli je lubił.

—
Dobrze! Palił papierosy?

-Nie.

—
Czyli paczki po papierosach nie znajdziemy...

Nagle Simon, nie czekając na wnioski z tego nudnego wywodu, rozciął pierwszy

worek. Wewnątrz znalazł mnóstwo kubeczków po jogurcie, wziął się więc do następnego.

Rozdział nasty

-

—

Simon! — zawołał niezadowolony syn pani Jaśminy. — Przestań! Musimy najpierw dokładnie wszystko przeanalizować! Najważniejsze, by...

W drugim worku było opakowanie z niebieskiej tektury. Simon chwycił je ostrożnie i wyciągnął na zewnątrz. — Portierka powiedziała, że paczka od fałszywego listonosza była niebieska. To będzie to!

Nikola ze zmarszczonym nosem wsadziła rękę do tego samego worka i wydobyła małe zielone pudełeczko.

—

Miętowe dropsy! — zawołali Leon i syn pani Jaśminy.

—

A więc to worek ze śmieciami Marcelego!

—

W takim razie to niebieskie to musi być nasze opakowanie!

—

Jesteś wielki, Simon!

Synowi pani Jaśminy aż się oczy zaświeciły. Zwołajcie wszystkich - polecił szeptem.

- Widzimy się w zielonym gabinecie za pół godziny!

Tajemnica niebieskiego pudełka

Oko syna pani Jaśminy było wielkie i błękitne jak jezioro... A przynajmniej tak

wyglądało dla detektywów z zaułka Woltera, którzy siedząc dookoła stołu, patrzyli, jak młodzieniec wpatrywał się przez ogromną pozłacaną lupę w pudełko z niebieskiej tektury.

Wszyscy wstrzymali oddech z wrażenia.

Po drobiazgowych oględzinach, które — jak się wszystkim wydawało — trwały

wieki, antykwariusz odłożył lupę z westchnieniem i opadł ciężko na krzesło,

wkładając między zęby ustnik swojej niezapalanej fajki.

Rozległ się chór pytań.

-I co?

—

Jakieś pomysły?

—

Znalazł pan coś?

127

Rozdział trzynasty -

Ale syn pani Jaśminy milczał uparcie i pytania stopniowo ucichły. Na stole rozłożone były wszystkie przedmioty należące do pana Marcelego, które zdołali zgromadzić

detektywi-amatorzy. Oprócz pudełka z niebieskiej tektury było też pudło z drukarni, które zawierało: parę okularów do pracy, osiem ołówków, jedną temperówkę, dwa

pisaki czerwone i jeden czarny, około pięćdziesięciu ulotek biura podróży Alberta, latarkę okrągłą, latarkę kwadratową, podkładkę pod kieliszek z jakiegoś baru w

Biarritz, pocztówkę z tej samej nadmorskiej miejscowości i małe radyjko.

Czekając, aż syn pani Jaśminy wreszcie przemówi, wszyscy na różne sposoby

okazywali zniecierpliwienie. Nikola odruchowo bawiła się notesem w ko-

mórcie. Simon machał nogami i wiercił się na krześle. Leon bębnił palcami po stole.

Mecenas Janvier nerwowo szarpał wąsy. Pani Jaśmina wyszywała serwetkę (mówiła, że jej to pomaga w koncentracji). Jedyne Wiktor udawał obojętność i stał odwrócony do wszystkich plecami - ale i on od czasu do czasu rzucał okiem przez ramię.

—
W tym opakowaniu była butelka! — zawyrokował naraz syn pani Jaśminy
niczym aktor, który czeka na odpowiedni moment, by wygłosić dramatyczną kwestię.

Zdawało się, że nagle pękła jakaś tama.

—
I potrzebował pan kwadrans, żeby do tego dojść?

—
Przecież z daleka widać, że to opakowanie na butelki!

—
No jasne! Wystarczy otworzyć, jeszcze jest odcisnięty kształt!

—
Super!

—
Drugi Sherlock Holmes!

—
Ale występ! Szkoda, że tego nie nagrałem i nie wrzuciłem do sieci!

—
Szanowny panie, zadziwia mnie pan!

—
Synowi pani Jaśminy zajęło parę minut, zanim zdołał uciszyć detektywów.

—
Proszę państwa... Bardzo proszę o spokój! Proszę państwa! Dajcie mi

wyjaśnić! To jasne, że mamy

GS5

Rozdział trzynasty

tu opakowanie na butelkę. Ale nie jest już takie jasne, co dokładnie było w środku!

—

Daj pan spokój! — przerwał mu Wiktor. — Przecież to oczywiste: w środku była butelka z zatrutym cydrem!

—

A skąd pan to wie, panie Wiktorze?

—

Bo Blochowie zostali otruci cydrem. Marceli twierdził, że w domu nie miał ani jednej butelki, ale fałszywy listonosz przyniósł mu paczkę, w której „przypadkiem” była właśnie butelka. I tak cydr trafił do domu!

—

Pytałem, panie Wiktorze, skąd pan wie, że cydr był już zatruty, kiedy został doręczony przez fałszywego listonosza?

Wiktor rozważył słowa antykwariusza. — Ma pan rację. Tego nie możemy wiedzieć.

—

Wszystko, co wiemy — podjął syn pani Jaśminy — to to, że w dniu morderstwa, około piątej trzydzieści, ktoś dostarczył do mieszkania Marcelego pudełko zawierające butelkę...

—

...przypuszczalnie cydru... — uzupełnił adwokat.

—

.. .przypuszczalnie cydru, który około pół godziny później został wypity przez małżeństwo Blochów. I w tym momencie, czyli około godziny szóstej, butelka cydru z pewnością zawierała śmiertelną dawkę kwasu pruskiego.

Tajemnica niebieskiego pudełka

W zielonym gabinecie rozgorzała dyskusja. Na prawo i lewo padały różne, mniej lub bardziej prawdopodobne pytania, pomysły i teorie.

W pewnej chwili donośny głos mecenasa Ferdynanda wybił się ponad pozostałe: —

Czekajcie no, nie pasuje mi tu jeden szczegół.

—

A dokładnie, panie mecenasie? — zapytał syn pani Jaśminy.

—

Proste pytanie: kto wyniósł śmieci z mieszkania Marcelego? Na pewno nie

Blochowie, którzy nie wyszli stamtąd żywi...

—

Przecież to jasne! Zrobił to sam Marceli.

—

Ale w takim razie musiałyby być winny!

—

Dlaczego?

—

Kto może mieć tyle zimnej krwi, żeby myśleć o śmieciach przy dwóch trupach w mieszkaniu? Tylko morderca!

—

Przykro mi, ale muszę zepsuć pańską teorię — wtrąciła Nikola. — Było zupełnie inaczej!

—
A skąd wiesz?

—
No bo... wczoraj wieczorem tata w pewnej chwili musiał podejść do telefonu.

No i akurat miał włączonego laptopa ze swoimi notatkami... A ja właśnie przechodziłam obok i...

—
Co za dziewczyna! — zawołał adwokat. — I co odkryłaś?

—
Ze policja przesłuchała już wszystkich lokatorów

Tajemnica niebieskiego pudełka

-
W zielonym gabinecie rozgorzała dyskusja. Na prawo i lewo padały różne, mniej lub bardziej prawdopodobne pytania, pomysły i teorie.

W pewnej chwili donośny głos mecenasa Ferdynanda wybił się ponad pozostałe: —

Czekajcie no, nie pasuje mi tu jeden szczegół.

—
A dokładnie, panie mecenasie? — zapytał syn pani Jaśminy.

—
Proste pytanie: kto wyniósł śmieci z mieszkania Marcelego? Na pewno nie

Blochowie, którzy nie wyszli stamtąd żywi...

—
Przecież to jasne! Zrobił to sam Marceli.

—
Ale w takim razie musiałyby być winny!

—
Dlaczego?

—
Kto może mieć tyle zimnej krwi, żeby myśleć o śmieciach przy dwóch trupach w mieszkaniu? Tylko morderca!

—
Przykro mi, ale muszę zepsuć pańską teorię — wtrąciła Nikola. — Było zupełnie inaczej!

—
A skąd wiesz?

—
No bo... wczoraj wieczorem tata w pewnej chwili musiał podejść do telefonu. No i akurat miał włączonego laptopa ze swoimi notatkami... A ja właśnie przechodziłam obok i...

—
Co za dziewczyna! — zawołał adwokat. — I co odkryłaś?

—
Ze policja przesłuchiwała już wszystkich lokatorów

Tajemnica niebieskiego pudełka

W zielonym gabinecie rozgorzała dyskusja. Na prawo i lewo padały różne, mniej lub bardziej prawdopodobne pytania, pomysły i teorie.

W pewnej chwili donośny głos mecenasa Ferdynanda wybił się ponad pozostałe: —

Czekajcie no, nie pasuje mi tu jeden szczegół.

—
A dokładnie, panie mecenasie? — zapytał syn pani Jaśminy.

—
Proste pytanie: kto wyniósł śmieci z mieszkania Marcelego? Na pewno nie

Blochowie, którzy nie wyszli stamtąd żywi...

—
Przecież to jasne! Zrobił to sam Marceli.

—
Ale w takim razie musiałyby być winny!

—
Dlaczego?

—
Kto może mieć tyle zimnej krwi, żeby myśleć o śmieciach przy dwóch trupach w mieszkaniu? Tylko morderca!

—
Przykro mi, ale muszę zepsuć pańską teorię — wtrąciła Nikola. — Było zupełnie inaczej!

—
A skąd wiesz?

—
No bo... wczoraj wieczorem tata w pewnej chwili musiał podejść do telefonu.

No i akurat miał włączony laptopa ze swoimi notatkami... A ja właśnie przechodziłam obok i...

—
Co za dziewczyna! — zawołał adwokat. — I co odkryłaś?

Ze policja przesłuchiwała już wszystkich lokatorów

Rozdział tnasty

-
kamienicy. I okazało się, że pani Galia, która czasem pomagała Marcelemu w pracach domowych, przyszła u niego posprzątać właśnie w dniu morderstwa. I spotkała tam Blochów, którzy oczywiście wtedy jeszcze żyli. Pani Galia zabrała worek ze śmieciami, pożegnała się i poszła na dół.

—
Może pan Bloch zdążył rozpakować butelkę i wyrzucić opakowanie do śmieci, zanim przyszła pani Galia... - mruknął pan Ferdynand.

—
To ważny szczegół! — podkreślił syn pani Jaśminy.

—
Pozostaje jednak pewien problem — dodał mecenas. — Według pana

Waldemara, adwokata naszego drogiego przyjaciela Marcelego, jego klient upiera się, że nic nie wie o tej butelce. Ze nigdy wcześniej jej nie widział. Twierdzi, że przynieśli ją sami Blochowie, właściciele kamienicy!

—
Dobre! — roześmiał się Simon. — Przynoszą zatrutą butelkę, siadają przy stole i wypijają, tak? Może jeszcze wznoszą toast?

Wszyscy zgodzili się, że to nie ma najmniejszego sensu.

—
Jeszcze jedno — znowu odezwał się adwokat. — Marcelli zeznał, że zanim

stracił pracę, od czasu do czasu on i pan Bloch wypijali razem kieliszek cydru. Jego gospodarz też miał bowiem słabość do tego trunku.

—
To może Blochowcie przynieśli tę butelkę, żeby ją

Tajemnica niebieskiego pudełka

-
wypić razem z Marcelim? Na przykład, żeby mu pokazać, że nie są na niego źli, że nie płacił czynszu... — zastanawiał się Simon. — Wtedy Marceli wsypał truciznę... i gotowe!

—
A jak wyjaśnisz fałszywego listonosza o piątej trzydzieści i to niebieskie pudełko? Widziała go portierka, pudełko też widziała. A pudełko znaleźliśmy w śmieciach.

—
Słusznie — zgodził się syn pani Jaśminy. — Musimy odkryć, kto je przyniósł do mieszkania Marcelego. I dlaczego.

—
A może... - zaczęła Nikola, zaglądając do swoich notatek. Wszyscy na nią spojrzeli. — A może butelka była prezentem? Marceli lubił cydr. A jak chce się komuś zrobić prezent, to kupuje się to, co ten ktoś najbardziej lubi. Przyjaciele tak robią... A Marceli miał przyjaciela, tego, co niedawno zmarł. Może to on wysłał tę butelkę? Mógł ją zamówić przed śmiercią... a doręczyli ją kilka dni później...

—
Racja, przyjaciel Marcelego!

—
Zapomnieliśmy o nim...

—
Jak on się nazywał?

—
I kiedy właściwie umarł?

Okazało się, że nikt nic o tym nie wie. Wszyscy zgodzili się z Nikołą, że to jest jedna z ważniejszych informacji, którą trzeba zdobyć, żeby posunąć śledztwo naprzód.

Rozdział trzynasty

—

Moim zdaniem w wytropieniu tego przyjaciela może nam pomóc mężczyzna z drukarni — powiedział Leon. — Mogę iść go wypytać, ale... musicie się dołożyć do stu plakatów! Inaczej zaczniesz coś podejrzewać.

Wszyscy się zgodzili i szybko zebrali potrzebną sumę.

—

Proszę państwa! — zwrócił się do zebranych syn pani Jaśminy. — Może podsumujmy... Czy waszym zdaniem Marceli zabił oboje Blochów?

—

Nieeee — powiedział Simon, potrząsając głową. — Nie wyglądał na mordercę!

—

Poza tym jego też ktoś próbował zabić... - przypomniała Nikola.

—

Ale jeśli nie on, to kto jest mordercą? — zapytała pani Jaśmina.

Mecenas Ferdynand potarł brodę w zamyśleniu.

—

Uważam, że nie można czekać, aż policja znajdzie wyjaśnienie. Oczywiście, z całym szacunkiem dla waszego taty, dzieciaki. Zagadkę butelki z zatrutym cydrem możemy rozwiązać sami — ale potrzebujemy informacji. O sąsiadach Marcelego, o jego znajomych, no i oczywiście o państwie Bloch, właścicielach kamienicy. Jest

wiele pytań, na które musimy odpowiedzieć: kto mógł im życzyć śmierci? Czy wśród lokatorów tej kamienicy byli też inni, którzy nie płacili czynszu? A przede wszystkim: dlaczego Marcelego też ktoś próbował zabić?

Detektywi z zaułka Woltera powoli rozchodzili się do domów. Każdy w myślach łamał sobie głowę nad rozwiązaniem zagadki, którą nazywali już między sobą „sprawą Marcelego”.

Leon szedł szybkim krokiem przez bulwar du Tempie. Powietrze Paryża wreszcie nadawało się do oddychania — było świeże i rześkie. Z kafejek po obu stronach bulwaru dobiegał wesoły gwar.

Wieczór był zwyczajny, jak wiele innych... ale nagle Leon zauważył mężczyznę, który podejrzanie się zachowywał. Był wysoki, ubrany na granatowo, miał starannie przystrzyżoną brodę — ale nie to zwróciło uwagę chłopaka. Dziwne było to, że mężczyzna kręcił się nerwowo tam i z. powrotem obok zaparkowanego samochodu, rzucając niespokojne spojrzenia na pobliskie sklepy.

Jeszcze parę dni wcześniej Leon poszedłby dalej, niczym się nie przejmując, ale dziś.....Hej, Leon!

- powiedział do siebie. - Jesteś detektywem, pa-

Rozdział trzternasty

- Pamiętasz?". I udając zainteresowanie butami na wystawie sklepu, zaczął ukradkiem obserwować mężczyznę w granacie. Głowa Leona natychmiast zaczęła pracować na wysokich obrotach, niczym jeden z jego komputerów. „Może ten mężczyzna stoi na czatach, a reszta jego bandy rabuje bank? A może to niewierny mąż... i boi się, że ktoś go przyłapie?". Chłopak poczuł się jak King Ellerton. Z doskonale udawaną obojętnością spojrział znowu w kierunku mężczyzny. A tamten był coraz bardziej spięty i nerwowy.

Leon zauważył, że obok jest budka telefoniczna.

„Może czeka na telefon? Na pewno! Wynajął zawodowego mordercę i czeka aż

bandzior zadzwoni, że wszystko poszło gładko!”.

Rzeczywistość okazała się jednak inna niż w powieściach z Kingiem Ellertonem. Na

ulicy pojawiła się gruba dama w białym płaszczyku, z mnóstwem torebek i paczuszek w rękach.

Granatowo ubrany mężczyzna natychmiast wyszedł jej naprzeciw, sapiąc

gniewnie. — Nareszcie! Bilet na parking skończył się dziesięć minut temu, a ja nie mam drobnych...

Mogłem dostać mandat, Katarzyno — narzekał, otwierając

bagażnik.

Leon roześmiał się. Mężczyzna w granatowym ubraniu denerwował się, bo... czekał

na spóźnialską żonę!

Chłopak poszedł dalej, kierując się w stronę zaułka

Pla scenę wchodzi hrabina

Woltera. Mimo że trochę przesadził z tym „miniśledz-twera", humor mu się nie zepsuł — dzień był przyjemny. Rano trójka z matmy (wreszcie!), po południu chłopaki z zespołu chwalili jego solówkę gitarową do nowej piosenki... No i wizyta w

drukarni, u dawnego kolegi Dumonta, przyniosła rezultaty. I nie było to tylko sto plakatów na koncert, który nigdy się nie odbędzie.

Gdy Leon wszedł do swojego mieszkania, było w nim zupełnie cicho. To znaczy, że

mama jest jeszcze w pracy, super! W kuchni zawsze można było znaleźć jakąś

przekąskę — tym razem znalazła się bagietka, czekolada i mleko. Leon zjadł i wypił

to wszystko z prędkością małego odkurzacza, po czym poszedł do swojego pokoju.

Ledwo włączył komputer, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Byli to oczywiście Nikola i

Simon!

-1 jak było w drukarni? - zapytał od razu Simon.

—

Dowiedziałeś się czegoś? — Nikola była tak samo niecierpliwa jak brat.

Leon uśmiechnął się zagadkowo. Lubił czasem potrzymać małych Gaillardów w niepewności, tak dla zabawy.

—
No może...

—
Gadaj! — zawołała Nikola, która przez cały dzień o niczym innym nie myślała.

Rozdział trnasty

—
Spokojnie, małolaty, mam co trzeba — oświadczył Leon.

—
To znaczy, co masz? — zapytał Simon.

—
Nazwisko. Nazwisko przyjaciela Marcelego, tego co niedawno zmarł.

—
Fantastyczne — ucieszyła się Nikola.

—
No! Ten mężczyzna nazywał się... Czekaście... — mina wielkiego detektywa zniknęła z twarzy Leona.

—
Na szczęście gdzieś to zapisałem — mruknął i zaczął szukać w kieszeniach bluzy.

Rodzeństwo Gaillard zachichotało. Wreszcie Leon wyciągnął jakiś zmięty kawałek papieru i przeczytał:

—
„Franciszek Luc”!

—
Świetnie — kiwnęła głową Nikola. — I co teraz?

—
Czas poszperać w necie! Mama wreszcie oddała mi modem — zawołał Leon z entuzjazmem.

Gaillardowie zgodzili się ochoczo i cała trójka poszła do pokoju Leona.

Poszukiwania nie dały jednak tak spektakularnych wyników, jak się wszyscy spodziewali. Po wpisaniu w wyszukiwarkę „Franciszek Luc” wyskoczyły... adresy strony internetowej fabryki lakierów oraz hurtowni win z południa.

—
Eee, szkoda, że nie jest gwiazdą rocka ani słynnym piłkarzem — westchnął komicznie Leon.

Przeglądali stronę za stroną, ale nigdzie nie trafili na informację o przyjacielu Marcelego. Jak to możliwe, żeby w Internecie nic nie było? Już mieli zrezygnować. .. gdy nagle Leon coś zauważył.

—
Hej, patrzcie! - krzyknął. — Na www.photoclick.net jakiś Franciszek Luc ma założone konto! Może to ten?

—
Acha... Ale co to za strona? — zapytał Simon.

—
Portalphoto sharing\ — odparł od razu Leon.

Nikola i Simon popatrzyli na niego z dziwnymi

minami.

—

No, to taki portal, gdzie ludzie wrzucają swoje zdjęcia, żeby je pokazać przyjaciołom — wyjaśnił chłopak.

—

Brzmi fajnie — przyznała dziewczyna. — Myślisz, że tam coś będzie?

—

Może... Ale żeby wejść na profil ze zdjęciami Franciszka, trzeba znać jego hasło.

—

O rety — skrzywił się Simon. — Zawsze trzeba znać te przekłete hasła.

Leon zamyślił się. — Hmm... Jeden kolega dał mi niedawno taki program do znajdowania ukrytych haseł... Spróbuję go uruchomić, może to coś da.

—

Ale... czy można wchodzić na czyjąś stronę ze zdjęciami bez zgody tego

kogoś? I jeszcze... przecież jego już nie ma... i... — Nikola była bardzo zakłopotana.

Leon podrapał się po głowie. — Wiem, o co ci chodzi. Ale... przecież robimy to tylko po to, żeby znaleźć wskazówki w sprawie D. Bo wierzymy, że Du-mont jest niewinny! Myślę, że

Franciszek ucieszyłby się, gdybyśmy trafili na coś, co pomoże jego przyjacielowi. I na pewno by się na to zgodził.

-

Pewnie, że tak! - potwierdził Simon.

-

Chyba masz rację... — powiedziała przekonana już Nikola.

Kilka kliknięć myszką później program do znajdowania haseł został uruchomiony,

natychmiast zasypując ekran lawiną liter i cyfr.

-

Trzeba będzie trochę poczekać - uprzedził Leon.

Na łóżku leżały rzucone byle jak pady do Flyp3, ulubionej konsoli do gier Leona.

Jakoś tak wszyscy spojrzeli na nią w tym samym momencie.

ą ■ 0

Pla scenę wchodzi hrabina

— King Ellerton chyba by tego nie zrobił...

-Ale...

—

W sumie...

—

To może potrwać nawet pół godziny...

I już chwilę później Leon i młodzi Gaillardowie ścigali się Formułą 1 na zakrętach toru w Monte Carlo.

Po trzech kwadransach, gdy Leon stał akurat w pit-stopie, a Simon i Nikola

próbowali wypchnąć się nawzajem z toru na zakręcie, za ich plecami rozległy się

fanfary. Było to tak nieoczekiwane, że cała trójka odwróciła się jednocześnie.

Na ekranie komputera migał napis „hasło odnalezione”. Nikola i Leon od razu rzucili pady i usiedli przy biurku. Simon natomiast spokojnie dokończył okrążenie... i

oczywiście wygrał. Gdy dosiadł się do nich, Leon zdążył już otworzyć stronę, na

którą Franciszek Luc wrzucał swoje zdjęcia.

Od razu rzucało się w oczy, że przyjaciel Marcelego był miłośnikiem przyrody —

większość zdjęć zrobił w ogrodach zoologicznych chyba z całego świata. Na ekranie pojawiały się, jedno za drugim, żyrafy, hipopotamy, szympansy, tygrysy, zebry... i tak dalej, i tak dalej, bez końca.

—

Nuuudy — ziewnął Simon.

—

Czekajcie - powiedziała Nikola. - A co jest tu? — wskazała myszką folder w rogu ekranu.

- „PODRÓŻ DO BIARRITZ” - przeczytał Leon.

Rozdział czternasty

-

—

Biarritz... — powtórzył Simon. — Chyba gdzieś to już widziałem...

—

W pudle Marcelego z drukarni była pocztówka z Biarritz i podkładka pod kieliszek z tego miasta — przypomniała mu siostra, która miała świetną pamięć.

Słyszac to, Leon szybko otworzył folder wskazany przez Nikolę.

—

MARCELI!!! - krzyknęli wszyscy naraz.

Rzeczywiście, pan Marceli był prawie na każdym

zdjęciu. I zauważyli coś jeszcze: na jednej z fotografii w tle widać było minibus z napis „Z ALBERTEM PODRÓŻE”.

—

Znowu Albert! Ta nazwa jest wszędzie, ciekawe co to znaczy! — zastanawiał się Simon.

—

Chyba wpadliśmy na ważny trop! - powiedziała Nikola z błyszczącymi oczami.

—

A jak wam się podoba ta damulka? - zapytał ze śmiechem Leon. Wskazał na pulchną damę w sukience w kwiaty, która, uśmiechając się z wyższością, obejmowała z jednej strony Marcelego, a z drugiej -umięśnionego mężczyznę, którym był pewnie Franciszek. Potwierdzał to podpis, który głosił: „Ja nad morzem, z Marcelim Dumontem i cudowną hrabiną Blumier!”.

—
Ale super! W sprawę zamieszana jest też hrabina! — ucieszył się Simon.

—
Tak, hrabina Blumier... — powtórzył Leon. — Mam przeczucie, że to nazwisko się nam jeszcze przyda. Trzeba będzie je zapamiętać!

—
Noo... my zapamiętamy na pewno — odparła ironicznie Nikola, natychmiast zapisując nazwisko w komórce — ale ty nie zapomnisz zapomnieć, o Leonie?

Tego wieczoru w zielonym pokoju unosił się zapach, którego raczej nikt by się nie spodziewał w gabinecie detektywów — pachniało czekoladą i pomarańczami. Była to

oczywiście zasługa pani Jaśminy i jej słynnego tortu o nazwie „Stary Paryż”.

Wisząca nad stołem lampa rzucała światło na siedem twarzy, trochę umazanych czekoladą i bardzo zadowolonych z życia.

—
Pani Jaśmino! Kolejny kawałek tortu jest mi niezbędny do dalszego prowadzenia śledztwa! — poprosił stanowczo pan Ferdynand.

-
Niestety, panie mecenasie, nic nie zostało, więc śledztwo musi pan prowadzić w oparciu o to, co już pan zjadł! — wyjaśniła równie stanowczo pani Jaśmi-na.

Rozdział iętnasty

-
—
Drodzy państwo! — odezwał się antykwariusz, oblizując łyżeczkę. — Tort się
co prawda skończył, ale sprawa — nie... I jak by nie patrzeć, nasze zebranie dotyczy raczej tego
drugiego...

—
To my mamy prawdziwą bombę! — krzyknął Simon, który już umierał z
niecierpliwości, żeby wreszcie opowiedzieć, co odkryli z Leonem.

Pozostali detektywi z zaułka Woltera spojrzeli na niego z ciekawością.

—
No to ją odpalaj, chłopcze! - zachęcił go Wiktor.

—
W tej historii jest jeszcze hrabina!

—
Hrabina?! Ale skąd? - zapytał syn pani Jaśminy, poruszony tym nieco
powieściowym szczegółem.

—
Była nad morzem z Marcelim... i... znała jego przyjaciela... ach, on się
nazywał Franciszek! I to było na wakacjach... i... - z podekscytowania Simon
zupełnie się poplątał.

—
Simon! Trzeba po kolei! — przerwała Nikola, bardziej sumienna od brata.

Opowiedziała wszystko spokojnie i od początku, nie zapominając o żadnych
szcze­gółach. Pod koniec jej opowieści wszyscy byli podekscytowani prawie tak samo jak Simon.

—

Coś takiego! — zdumiewał się adwokat. - Marceli nie wyglądał mi zupełnie na kogoś, kto wybiera się na wakacje do tak eleganckiego kurortu! I to jeszcze w towarzystwie przedstawicielki arystokratycznych sfer!

zagmatwana zagadka

—
Tak, coś tu nie gra — zgodził się Wiktor.

—
Hmm... właściwie to niewiele wiemy na temat Marcelego... A hrabina może ma kłopoty finansowe albo... nie możemy wykluczyć możliwości, że to fałszywa arystokratka — zastanawiał się syn pani Jaśminy.

—
Szczерze mówiąc - odezwał się Leon - na zdjęciach hrabina Blumier wyglądała na prawdziwą hrabinę.

—
Coo?! — pani Jaśmina zerwała się z krzesła z prędkością, o którą nikt by jej nie podejrzewał. — Mówisz, że jak ona się nazywa? Blumier?!

—
No... tak — powtórzył chłopak, trochę przestraszony. — Tak napisał pan Franciszek pod zdjęciami, które znaleźliśmy wczoraj w Internecie. Prawda, dzieciaki?

—
Rodzeństwo Gaillard potwierdziło, kiwając zgodnie głowami.

—
Ależ... a niech to, macie pojęcie? Hrabina Blumier! Ta sama, o której przez tyle miesięcy mówiło całe miasto!

Po zakłopotanych minach reszty detektywów pani Jaśmina zorientowała się, że w tym pokoju nikt oprócz niej nie zna tej historii.

—
No, właściwie... — usiadła zniecierpliwiona z powrotem przy stole. — Ta sama, o której miesiąc mówił cały targ.

Rozdział iętnasty

-
—
Więc na co pani czeka? Proszę nas zasypać lawiną plotek — ponaglił ją skwaszony listonosz.

—
Jakich plotek, Cormolles?! Gazety o tym pisały... Gdyby pan tylko czasem je czytał zamiast narzekać... Hrabina Blumier była niezwykle bogatą kobietą, miała całą kamienicę przy ulicy Rivoli...

-Jak to „była”? - przerwał Leon.

—
Hrabina miesiąc temu... umarła! — oznajmiła pani Jaśmina.

Nikola wzdrygnęła się mimowolnie. Na chwilę zapanowała cisza, podczas której detektywi z zaułka Woltera wymieniali pytające spojrzenia.

—
A dlaczego tyle się o tym mówiło, mamó? — zapytał syn.

—
Hrabina Blumier zawsze dostarczała tematów do plotek — wyjaśniła jego matka. — Dużo podróżowała i lubiła otaczać się przystojnymi młodzieńcami...

...i nieszczęśnikami w rodzaju Marcelego — dodał z uśmiechem książkę sali sądowej.

—
Ale największe poruszenie wywołała wiadomość — ciągnęła pani Jaśmina — że hrabina wydziedziczyła córkę, żeby zostawić wszystko jakiemuś nieznajomemu!

—
No to wykręciła córce niezły numer! — podsumował Leon.

Mecenas Ferdynand zmrużył oczy, próbując coś sobie przypomnieć. — Ależ tak... — powiedział. — Wyda-

Zagmatwana zagadka

je mi się, że słyszałem o tym od kolegów... Wywiązał się z tego sądowy pojedynek na śmierć i życie.

—
Tak było! Ale na targu wszyscy mówili, że córka hrabiny nie ma szans na wygraną... Bo testament hrabiny, w którym zapisała majątek jakiemuś człowiekowi znikąd, był prawomocny!

-
Testament ze spadkiem! - krzyknął Simon. - Tylko tego nam brakowało! To kompletnie bez sensu!

—
Właśnie — poparła go siostra. — I zastanawiam się, co w tym wszystkim robi Marcelli...

—
Być może nic — odparł Wiktor. — Pamiętasz, co zawsze powtarza Ellerton?

„Nie ma nic bardziej podejrzanego niż idealny zbieg okoliczności!”.

Sprawa stawała się coraz bardziej zagmatwana.

-

Musimy działać z głową - odezwał się mecenas. - Wiktorze, miał pan dowiedzieć się czegoś o lokatorach z kamienicy Marcelego. Jakież rezultaty?

-

Pytałem kolegę, który roznosi pocztę w tej dzielnicy — zaczął Wiktor. —

Mówił, że w tym domu mieszkają sami urzędnicy, emeryci, jeden stroiciel

fortepianów... Czyli po prostu przyzwoici ludzie, niezbyt bogaci, ale bez problemów z pieniędzmi.

-

Czyli nic niezwykłego...

—

Niezupełnie! Kolega powiedział mi jeszcze coś: wygląda na to, że do

kamienicy wprowadził się nowy lokator. Prawie nigdy nie ma go w domu i

przychodzą do niego listy z Marsylii.

Rozdział piętnasty

-

—

Marsylia! — zawołał syn pani Jaśminy. - Ojczyzna gangsterów i

kombinatorów!

Wiktor Cormolles, który właśnie stamtąd pochodził, spiorunował go wzrokiem.

—

Jeśli ma pan coś do Marsylii, panie...

Leon spojrzał niespokojnie na stary zegar z wahadłem, stojący w kącie pokoju.

Musiał jeszcze dzisiaj poćwiczyć solówkę na gitarze, a było już późno. — Hej,

ludzie! Nie ma sensu się kłócić, i to jeszcze w takiej chwili... Lepiej opracujmy jakąś strategię.

—

Leon ma rację — poparł go pan Ferdynand. — Ktoś ma jakieś pomysły?

—

Musimy się czegoś dowiedzieć na dwa tematy - stwierdziła Nikola. - Pierwszy to sprawa hrabiny Blumier. A drugi: nowy lokator z Marsylii.

—

Hrabina miała córkę, co nie? To ja myślę, że najprościej będzie z nią porozmawiać — zaproponował Simon.

Wszystkie oczy od razu zwróciły się w stronę mecenasa. Detektywi z zaułka Woltera wiedzieli, że podczas swojej sądowej kariery Biały Gołąb reprezentował wielu paryskich arystokratów.

—

O nie, co to, to nie! — zaprotestował natychmiast książę sali sądowej. —

Zawsze nie cierpiałem tych bogatych, zarozumiałych, snobistycznych...

—

Ależ mecenasie Janvier... kto inny potrafiłby skłonić do mówienia córkę hrabiny? Jest pan naszą

Zagmatwana zagadka

ostatnią nadzieją! — prawiła mu komplementy pani Jaśmina. — A jeżeli odegra pan swoją rolę, będzie na pana czekała nagroda... i to bardzo słodka!

—

Sernik wiedeński? — zapytał adwokat z błyskiem w oku.

—

Sernik wiedeński! — potwierdziła pani Jaśmina.

—
Hmmm... W takim razie nie mogę odmówić... Ale sam nie pójdę!

—
To może... pójdziemy z panem? Jako... eee... pańskie wnuki? —
zapropnowała Nikola.

—
W takim razie umowa stoi. Ale uprzedzam: musicie się wyszykować.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Jak to dobrze, że mecenas tak szybko się zgodził!

Machina śledcza z zaułka Woltera została wprawiona w ruch!

—
Super! W takim razie ja sprawdzam lokatora z Marsylii. A na dziś kończymy
— podsumował Leon.

Detektywi z zaułka Woltera rozstali się podekscytowani i pełni zapału. Sprawa

Marcelego rozkręcała się coraz bardziej. Każdy — nawet marudny zwykle listonosz

— przeczuwał, że są już o krok od rozwiązania tej zagadki. Teraz wszystko w rękach mecenasa Janviera... i młodych Gaillardów.

Tej nocy Simon i Nikola długo przewracali się w łóżkach, nie mogąc zasnąć. Jutro poznają prawdziwą hrabiankę!

Ukryta za firanką Walentyna Gaillard patrzyła przez okno, jak jej dzieci idą ulicą.

Normalnie nie zawracałaby sobie głowy obserwowaniem własnych dzieci, ale dziś

było inaczej niż zwykle. Nie dość, że Nikola i Simon włożyli swoje najlepsze

odświętne ubrania... do czego mama ledwo mogła ich namówić, gdy mieli przyjść

goście... to jeszcze zrobili to z entuzjazmem! Mało tego! Szli teraz obok szalenie eleganckiego mecenasa Janviera, który przyszedł przed chwilą, aby zabrać ich na

koncert muzyki klasycznej. Koncert muzyki klasycznej!

— Koniec świata... — westchnęła pani Walentyna.

Paulina, jej najlepsza przyjaciółka, roześmiała się. — Och, Walentyno, przesadzasz!

To chyba dobrze, że dzieciaki zainteresowały się czymś innym niż gry kom-

puterowe. Szczerze mówiąc, masz szczęście! Twoje dzieci mają kontakt z muzyką... i to z najwyższej półki!

—

Rzecz w tym, Paulino, że moich dzieci absolutnie nie interesuje jakakolwiek

muzyka poza tą, która leci w MTV! Kiedy w domu puszczam Beetho-vena, od razu znikają w swoich pokojach!

—

Widocznie mecenas wpłynął na poszerzenie ich horyzontów kulturalnych...

Walentyna upiła łyk herbaty z bergamotką. — Może... — powiedziała. Ale w głębi ducha wcale nie była o tym przekonana. Podejrzewała raczej, że ta trójka coś kombinuje.

Pan Ferdynand i jego „wnuki" byli umówieni na wizytę w rezydencji hrabiny

Blumier dokładnie o piątej, szli więc różnym krokiem, żeby się nie spóźnić. Gdy

tylko oddalili się kawałek od domu, z dala od ciekawskich uszu, od razu zaczęli

komentować wiadomość dnia, o której pisały dziś gazety: Marcelego mieli przed wieczorem wypuścić z aresztu!

—

Mieliśmy rację! Jest niewinny! Wreszcie się zorientowali! — gorączkował się

Simon, poprawiając niecierpliwie zieloną muszkę, która uwierała go w szyję.

—

Myślisz...? — Nikola była dużo ostrożniej sza. -A jeśli to taki podstęp, jak w

filmach? No wiecie: zwalniamy go, żeby zobaczyć, czy popełni jakiś fałszywy krok...

Testament prawdy

-

—
A może po prostu komisarz Gaillard już nie jest taki skuteczny, odkąd musiał przejść na dietę ze zdrową żywnością! — zażartował mecenas. Wszyscy się roześmieli. Simon i Nikola szybko jednak spowaźniali i zaczęli powtarzać lekcję dobrych manier, jakiej udzielił im adwokat.

—
Zawsze dziękować...

—
...nawet jeśli podadzą kiepskie jedzenie.

—
Nigdy się nie śmiać...

—
...ani nie uśmiechać.

—
Nie wiercić się na krześle...

—
...i nie trzymać łokci na stole.

—
Krótko mówiąc, nie robić nic oprócz siedzenia i dziękowania!

—
Doskonale! - ocenił adwokat. - Jesteście gotowi do wejścia w wyższe sfery.

Trójka detektywów udała się w stronę metra. Przejechali kilka przystanków, po czym wysiedli na stacji w jednej z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Paryża. Jeszcze

krótki spacer — i już stali przed gustowną portiernią kamienicy przy ulicy Rivoli.

Była dokładnie piąta. Adwokat kazał się zapowiedzieć i po chwili dostojny „dziadek”

i jego grzeczne „wnuki” zostali zaproszeni na górę, do apartamentu hrabianki Blumier. Pana Ferdynanda i młodych Gaillardów przyjął tam lokaj w liberii, który

odebrał od nich płaszcze. Simon wpatrywał się w niego z otwartą buzią, aż Ni-

f

Rozdział senasty

kola szturchnęła go łokciem.

—

Nie gap się tak! — szepnęła bratu do ucha.

—

Ale... widziałaś go? Ma chyba ze sto lat! — od-szepnął Simon.

—

Hrabianka czeka w sali herbacianej', proszę za mną — powiedział w tej samej

chwili stary lokaj.

Szli przez długi korytarz pełen starych złoconych mebli, portretów ludzi w perukach i chińskich waz. W sali herbacianej na końcu korytarza, na zielonej atłasowej kanapie siedziała hrabianka Blumier. Rodzeństwo, stanąwszy za panem Ferdynandem,

rzucało jej zaciekawione spojrzenia zza pleców adwokata. Hrabianka była ubrana w

szykowny kostium we wściekle różowym kolorze i obwieszona perłami i złotymi

łańcuszkami. Także przy jej okularach w kształcie motyli skrzydeł wisiał złoty

łańcuszek. Na kolanach trzymała maleńkiego pieska chihuahua, wciśniętego w

ubranko tego samego koloru co kostium pani.

Mecenas wykonał pełen szacunku ukłon, który Nikola i Simon natychmiast

skopiowali.

—

Hrabino, dziękuję, że zechciała nas pani przy-

jąć-

—

Ależ proooszę, mecenasie! - powiedziała kobieta niezwykle wysokim głosem.

— Mam tylko nadzieję, że nie przynosi pan złych wiadomości, bo mam ich już aż

zanadto! Jak panu wiadomo... jestem właśnie

- ■•_

Testament prawdy

w centrum jakichś absurdalnych wydarzeń, doprawdy trudno cokolwiek z tego

zrozumieć... — Tu gospodyni zalała gości potokiem słów, zwierając się ze swoich

cierpień związanych ze sporem o spadek. Od razu było widać, że do skrytych i

milczących osób na pewno nie należy!

Gdy hrabianka przerwała, by zaczerpnąć powietrza, adwokat wykorzystał okazję,

przybrał natchniony wyraz twarzy i wystartował z jedną z tych mów, które uczyniły go słynnym Białym Gołębiem paryskich sądów.

—

Pani słowa dowodzą niepospolitej wrażliwości i mądrości, hrabianko Blumier.

Ja jestem już co prawda schorowanym starcem, ale nie mogę patrzeć obojętnie, gdy

taka szlachetna osoba jak pani cierpi przez szachrajstwa jakiegoś pospolitego

bandziora! Dlatego właśnie, chcąc pomagać wielkim damom w potrzebie,

postanowiłem założyć Paryskie Stowarzyszenie Przeciwko Wszelakim Oszustom i

Naciągaczom!

—

Oooooooch, cóż za wspaniaaały pooomysł! — rozplynęła się w zachwycie

pani Blumier.

—
I byłbym zaszczycony, mogąc oferować pani swe wsparcie w arcysłusznej
batalii prawnej przeciwko temu...

—
...szczurowi z rynsztoka — wysyczała hrabianka tonem raczej mało
arystokratycznym.

159

Rozdział zenasty

-
Nikola i Simon wpatrywali się jak urzeczeni w pana Ferdynanda, zachwyceni
mistrzostwem, z jakim odgrywał rolę „obrońcy paryskiej arystokracji”.

—
Wobec tego mam nadzieję, że pani hrabina nie będzie miała nic przeciwko
temu, abym obejrzał kopię testamentu, który ten... hmm... szczur z rynsztoka... .. pani dostarczył.

—
Ależ oczywiście, że nie mam nic przeciwko! Mam nadzieję, że uda się panu
zniszczyć tego niegodziwca Alberta!

Na dźwięk tego nazwiska Nikola i Simon natychmiast zapomnieli o wszystkich
lekcjach dobrych manier.

—
Albert?!?! — wrzasnęli niczym kibice na piłkarskim stadionie.

Pan Ferdynand uśmiechnął się z wysiłkiem do zdziwionej hrabianki.

—
Zechce pani wybaczyć moim wnukom, hrabianko. Cóż, nasz sprzedawca

wędlin także nazywa się Albert, co za traf...

—

Nic nie szkodzi, mecenasie... Pańskie wnuki są uroocze! — oświadczyła

hrabianka, dzwoniąc po starego lokaja. Gdy przyszedł, rozkazała mu przynieść kopię testamentu, po czym opowiadała dalej z prędkością karabinu maszynowego: —

Mecenasie Janvier, nawet pan sobie nie wyobraża, jakim piekłem jest moje życie, odkąd pojawił się w nim ten cały Albert!

Rozdział zenasty

-

—

W tym miejscu dama uniosła w górę wystrojonego pieska. — To wpływa

nawet na moją Chichi! Rozchorowała się i już od kilku dni nie chce jeść swojej polędwiczki! Moja kochana biedaczka!

—

Co za tragedia! — wykrzyknął mecenas, ledwo powstrzymując śmiech.

Lokaj powrócił, niosąc srebrną tacę z testamentem, przez który biedna Chichi nie miała apetytu.

Adwokat wziął dokument z tacy i zaczął go kartkować.

—

Dalibóg!! - wykrzyknął nagle. Wyszarpnął nerwowo z kieszeni okulary do czytania, po czym wlepił wzrok w ostatnią stronę dokumentu.

Nikola i Simon poznali po jego minie, że dokonał wielkiego odkrycia. Tak wielkiego, że aż wypadł z roli, którą do tej pory tak świetnie grał.

—

Nikola, Simon! Podpisy! — zawołał, upuszczając testament na podłogę.

—
Podpisy?

—
Co z nimi? Są fałszywe?

—
Nie... Ale to podpisy Marcelego Dumont'a i Franciszka!

Rodzeństwo Gaillard zerwało się na równe nogi. — Cooo?!

—
Ale co się tu dzieeeeje? Chichi i ja nie rozumiemy!

—
protestowała hrabianka Blumier, na którą nikt nie zwracał uwagi.

Testament prawdy

Mecenas wstał i zaczął chodzić nerwowo po pokoju.

—
Co to wszystko znaczy? — zawołał Simon, nie mogąc się już powstrzymać. —

Nic już z tego nie rozumiem!

—
Czekajcie... Czekajcie... — mruknął pan Ferdynand, trąc w skupieniu czoło. —

Ależ tak! — zawołał w końcu, stając na środku pokoju. - Rok 1971, sprawa

Dubonnarda!

—
Dubonnarda? Jakiego Dubonnarda? — Nikola też przestała cokolwiek rozumieć.

To była prawie taka sama sprawa jak nasza — wyjaśnił mecenas. —

Antykwariusz z mnóstwem długów, Dubonnard, znalazł dwóch naiwniaków niedawno przybyłych z prowincji. Wyłudził od nich podpisy i wykorzystał je, żeby stworzyć fałszywy testament bogatej Amerykanki, która zmarła podczas wakacji w Paryżu!

—
I co było dalej? — pytał niecierpliwie Simon.

—
Dubonnard wykończył obu naiwniaków, żeby nie mogli zeznawać przeciwko niemu, i...

—
Wykończył obu?! - przerwała nagle Nikola, blada jak ściana. — Ale to znaczy, że... O nie!!

Całej trójce w tej samej chwili zaświtała w głowach ta sama przerażająca myśl: Marceli jest w niebezpieczeństwie !

Testament prawdy

Mecenas wstał i zaczął chodzić nerwowo po pokoju.

—
Co to wszystko znaczy? - zawołał Simon, nie mogąc się już powstrzymać. -

Nic już z tego nie rozumiem!

—
Czekajcie... Czekajcie... — mruknął pan Ferdynand, trąc w skupieniu czoło. —

Ależ tak! — zawołał w końcu, stając na środku pokoju. - Rok 1971, sprawa

Dubonnarda!

—
Dubonnarda? Jakiego Dubonnarda? — Nikola też przestała cokolwiek rozumieć.

—
To była prawie taka sama sprawa jak nasza — wyjaśnił mecenas. —

Antykwariusz z mnóstwem długów, Dubonnard, znalazł dwóch naiwniaków niedawno przybyłych z prowincji. Wyłudził od nich podpisy i wykorzystał je, żeby stworzyć fałszywy testament bogatej Amerykanki, która zmarła podczas wakacji w Paryżu!

—
I co było dalej? — pytał niecierpliwie Simon.

—
Dubonnard wykończył obu naiwniaków, żeby nie mogli zeznawać przeciwko niemu, i...

—
Wykończył obu?! — przerwała nagle Nikola, blada jak ściana. — Ale to znaczy, że... O nie!!

Całej trójce w tej samej chwili zaświtała w głowach ta sama przerażająca myśl: Marceli jest w niebezpieczeństwie!

—
Marceli! Słyszysz mnie pan? Marceli! — wołał pan Albert, machając ręką przez okno samochodu.

Marceli zatrzymał się. Stał na chodniku przed bramą więzienia — dopiero przed chwilą wypuszczono go z aresztu i wciąż jeszcze był oszołomiony i zdenerwowany.

Niepewnie przyglądał się białej furgonetce z napisem „Z ALBERTEM PODRÓŻE”, próbując rozpoznać, kto go woła.

Dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że zna ten głos.

-
Ach, Albercie, to pan!

-
Co za czasy... Żeby porządnego człowieka zamykali w pudle... —
skomentował tamten, otwierając drzwi samochodu.

—
Daj pan spokój, szkoda gadać — burknął Marcelli.

Rozdział nasty

-
—
Ale grunt, że mnie w końcu wypuścili!

Albert spojrzał z niechęcią na budynek więzienia, z grubymi kratami w oknach i drutem kolczastym na wysokim murze.

—
Paskudne miejsce.

Marcelli milczał ponuro.

—
Ale już jest w porządku, co? Czytałem w gazecie...

—
W gazecie! No właśnie! Nawet pisali o mnie w gazetach! - irytował się

Marcelli. - Nic nie jest w porządku, panie Albercie! Policja mówi, że dalej jestem głównym podejrzanym! Wypuścili mnie tylko dlatego, że nie mają dowodów!

Wydobył z kieszeni jakiś zmięty kawałek papieru.

—

Widzi pan? Tu jest napisane, że mam być ciągle do dyspozycji policji... Że nie mogę opuszczać miasta!

—

Na szczęście nie mamy w programie więcej wycieczek, he he he! - zaśmiał się Albert. - Zresztą, przyjechałem po pana, żeby...

—

Naprawdę? Przyjechał pan po mnie?

—

No tak! — w ręku Alberta pojawiła się butelka szampana. — Pomyślałem sobie, że wyjście na wolność trzeba uczcić!

Panu Marcelemu na widok złocistej butelki zaświeciły się oczy. Ściągnął beret i podrapał się po głowie.

—

Panie Albercie, nie wiem co powiedzieć...

—

To niech pan nic nie mówi, tylko wsiada! Jedziemy do pana do domu, może być?

Ostatnia podróż

-

Ale nie wiem, w jakim stanie jest mieszkanie... wie pan, policja przewróciła wszystko do góry nogami...

-

A dwa kieliszki się nie znajdują?

Marceli uśmiechnął się. — No, właściwie...

-

To niech pan wreszcie wsiada!

Dwadzieścia minut później Albert zaparkował furgonetkę niedaleko ulicy Charlot.

-

Mógł pan zaparkować trochę bliżej — zauważył Marceli, wysiadając z samochodu. - Bo tak to będziemy musieli kawałek przejść...

-

Eee, przecież to drobiazg! Przyda się panu trochę rozprostować nogi! Poza tym... tak będzie mi wygodniej stąd wyjechać. Bo widzi pan, Marceli, muszę potem jeszcze jechać do pracy i...

-

Panie Albercie... - mamrotał zakłopotany Marceli. — Naprawdę... może nie trzeba...

-

Bez gadania! Idziemy! - powiedział Albert z chytrym uśmiechem.

Rozglądając się czujnie dokoła, chwycił Marcelego pod ramię i wepchnął go w pierwszą napotkaną uliczkę. Wyglądało to tak, jakby chciał się co prędzej oddalić od furgonetki i dotrzeć na ulicę Charlot. Po drodze do kamienicy minęli oczywiście

wiele wolnych miejsc do parkowania, ale pan Albert chyba faktycznie nie chciał, żeby ktoś zauważył jego furgonetkę w tej okolicy.

Rozdział siedemnasty -

Gdy przyszli już prawie pod dom Marcelego, właściciel biura podróży założył na głowę kaptur i powiedział: - Mogę pana o coś prosić? Niech no pan sprawdzi, czy

jest tam portierka. Jak jest, to może jednak przełożmy nasze spotkanie na iriny

dzień... — Widząc pytające spojrzenie Marcelego, wyjaśnił: -Prowadzę biznes, no i sam pan rozumie, gdyby ktoś rozpuścił złośliwe plotki... Więc dopóki nie zostanie pan całkiem oczyszczony z podejrzeń... Widzi pan, niestety, jak niewiele trzeba, żeby stracić twarz z powodu byle plotki...

Przygnębiony Marceli skinął głową. — Naturalnie. Nie chcę wciągać pana w tę historię.

Wszedł do kamienicy, a chwilę później dał znak, że droga wolna.

Obaj szybko wbiegli na czwarte piętro.

— Zostawili taśmy policyjne! — poskarżył się Marceli, gdy stanął przed drzwiami swego mieszkania. Otworzył i wszedł do środka. — O nie! Tak jak się spodziewałem! Katastrofa!

Mieszkanie Marcelego składało się z przedpokoju, łazienki, kuchni, sypialni i małego pokoju dziennego, w którym na stosie kolorowych czasopism stał telewizor.

Wszędzie panował okropny nieporządek. Szuflady powyciągano z komody, a ich zawartość rozsypano dookoła. Zrzucone z półek książki leżały na podłodze. Na łóżku i kanapie wały się ubrania.

Ostatnia podróż

—

Tragedia! Okropność! — powtarzał nieszczęśnik, podnosząc co jakiś czas z podłogi to jeden, to drugi przedmiot.

Wydawało się jednak, że na panu Albercie ten niecodzienny bałagan nie robi żadnego wrażenia. Szukał kieliszków, a gdy znalazł je obok kuchenki, natychmiast złapał dwa i odkorkował szampana. — Nie ma co się martwić! Wypijmy!

—

Już pan otworzył? Nie słyszałem wystrzału kor-

—Jaki tam wystrzał... Jeszcze panu mało strzałów, policji i takich tam? — zażartował

Albert, podając mu natarczywie kieliszek.

—
Ma pan rację... Pijmy! — zawołał pan Marcelli.

—
Na zdrowie!

—
Na zdrowie!

Tymczasem wiele — zbyt wiele! — ulic dalej mecenas powtarzał co chwilę do kierowcy taksówki: -Szybciej! Musimy ZARAZ być na ulicy Charlot!!

Kierowca wskazał na drogę pełną samochodów. — Panie szanowny, korek jest! Szybciej się już nie da!

Na tylnym siedzeniu Simon desperacko próbował się dodzwonić do Leona.

—
Halo? Leon! No wreszcie! Gdzie jesteś?

—
U tego nowego lokatora z Marsylii, a wy?

—
Byliśmy u hrabianki i...

ka!

Rozdział ienasty

-

—
To mam nadzieję, że wam poszło lepiej niż mnie, bo...

—
Leon! Nie teraz!! Marcelli jest w niebezpieczeństwie! Jedziemy do niego

taksówką, ale jest korek i...

—

Jak to: w niebezpieczeństwie?

—

Dziś go wypuścili z więzienia!

-No i?

—

Odkryliśmy coś! Coś ważnego! Ktoś chce zabić Marcelego, próbował już dwa razy!

—

Ktoś chce zabić Marcelego? Ale po co? Nie...

—

Pamiętasz przyjaciela Marcelego? Tego, co się nazywał Franciszek i niedawno umarł?

—

No pewnie! Znaleźliśmy go razem w...

—

Franciszek też został zabity!

—

Yyy... zabity?? Simon, ja nic nie rozumiem!

—

Później! Wszystko ci wyjaśnię! Teraz musisz biec do Marcelego, słyszysz? Jak najszybciej!

Simon rozłączył się i spojrzał na siostrę. Pan Ferdynand wychylił się z za przedniego siedzenia w kierunku dzieciaków.

—
I co, pójdzie tam?

—
Noo... chyba tak.

—
Może trzeba mu było lepiej wytłumaczyć, co się stało...

—
Leon? Eee tam — Simon trochę niepewnie podał siostrze komórkę. — Masz.

Ty dzwoń do reszty.

Ostatnia podróż

—
Ja? Czemu ja?

—
No bo... ty pewnie umiesz lepiej wytłumaczyć, co się stało.

Pan Dumont uniósł kieliszek i przyglądał się bąbelkom szampana.

—
Niech pan pije! Na zdrowie! — zachęcał go właściciel biura podróży.

—
A pan nie wypije?

Albert trzymał swój kieliszek nisko opuszczony, wpatrując się w kieliszek

Marcelego. - A, tak... pewnie, oczywiście... — bąknął, unosząc go pośpiesznie.

Marceli natomiast swój opuścił. — Wie pan, co mi przypomina ten szampan?

W oczach Alberta mignął błysk irytacji. — Nie, co takiego?

—

Naszą podróż do Biarritz. Kiedy pomyślę, ile od tamtego czasu...

—

Marceli! Dzisiaj mieliśmy się niczym nie martwić!

—

Pan był dla mnie zawsze bardzo miły... Jeszcze jak pracowałem w drukarni, i później też...

—

Tak... jasne... ale teraz...

—

Franciszek zawsze mi mówił: „Pan Albert... pan Albert to dżentelmen”. -

Marceli uniósł kieliszek (Albert zrobił to samo), przytknął go do ust, ale natychmiast znowu go opuścił. - A hrabina? Co się stało z hrabiną?

Rozdział ienasty

-

Albert ledwo już ukrywał zniecierpliwienie. - Skąd ja mam wiedzieć, co się z nią stało?

—

Miała córkę...

—

Marceli! Nie mamy całego popołudnia! Dalej, pijmy w końcu!

—

Franciszek mówił o hrabiance: „Gdybym był dziesięć lat młodszy... Na pewno miałbym u niej szansę!”. A teraz...

—

Marceli, wciąż pan nic nie wypił.

—
Pan też!

—
Ale to pańskie święto!

—
Właśnie, święto! — Marceli uśmiechnął się smutno. — Tak, może ma pan rację...

Podniósł kieliszek do ust - Albert aż wstrzymał oddech — i w tej samej chwili ktoś zaczął wściekle walić w drzwi.

—
Dumont! Panie Marceli! Jest pan w domu?

Trochę szampana z kieliszka Marcelego rozlało się na podłogę. — Kto to u licha może być?

—
Nie mam pojęcia - sapnął Albert. - Ale niech pan będzie cicho! Może sam sobie pójdzie.

—
Głosu nie poznaję...

—
Ciiii!

—
Panie Dumont! Jest pan w domu? Proszę otworzyć!!

—
To chyba jakiś chłopiec — zauważył Marceli, podczas gdy nieznajomy dalej dobijał się do drzwi.

Ostatnia podróż

-

-

Grozi panu niebezpieczeństwo, słyszy pan? Ktoś próbuje pana zabić!

-

Też coś! Ale kto to może być?

Twarz pana Alberta nagle stężała. — To jakiś wariat! Poczekajmy, pewnie zaraz sobie pójdzie. A tymczasem wypijmy!

Albert chwycił kieliszek Marcelego, żeby podsunąć mu go z powrotem, i aż ręka mu zadrżała. Marcelli zauważył to, ale źle to sobie wytłumaczył: pomyślał, że Albert przestraszył się nieznanego. Postanowił uspokoić właściciela biura podróży.

-

Proszę chwilę poczekać, panie Albercie, już ja uciszę tego smarkacza za drzwiami!

-

Marcelli! Nie!!!

Ale Marcelli już otwierał szeroko drzwi. - Co ty, nie zauważyłeś, że drzwi nie były zamknięte? I w ogóle to kim ty jesteś? — zawołał ostrym tonem na widok

czarnoskórego chłopaka, który stał za progiem.

-

Nazywam się Leon... Chciałem pana ostrzec... Moi przyjaciele mówili, że grozi panu śmiertelne niebezpieczeństwo!

Mężczyzna zaśmiał się gorzko. — O, doprawdy? Od chwili narodzin grozi mi

śmiertelne niebezpieczeństwo! Powiedz swoim przyjaciołom, żeby nie tracili na mnie czasu. Co prawda zwolnili mnie z aresztu, ale niedługo znowu przyjdzie policja i

wpakują mnie z powrotem do więzienia!

Ostatnia podróż

-

-

Grozi panu niebezpieczeństwo, słyszy pan? Ktoś próbuje pana zabić!

-

Też coś! Ale kto to może być?

Twarz pana Alberta nagle stężała. — To jakiś wariat! Poczekajmy, pewnie zaraz sobie pójdzie. A tymczasem wypijmy!

Albert chwycił kieliszek Marcelego, żeby podsunąć mu go z powrotem, i aż ręka mu zadrżała. Marcelli zauważył to, ale źle to sobie wytłumaczył: pomyślał, że Albert przestraszył się nieznanego. Postanowił uspokoić właściciela biura podróży.

-

Proszę chwilę poczekać, panie Albercie, już ja uciszę tego smarkacza za drzwiami!

-

Marcelli! Nie!!!

Ale Marcelli już otwierał szeroko drzwi. — Co ty, nie zauważyłeś, że drzwi nie były zamknięte? I w ogóle to kim ty jesteś? — zawołał ostrym tonem na widok

czarnoskórego chłopaka, który stał za progiem.

-

Nazywam się Leon... Chciałem pana ostrzec... Moi przyjaciele mówili, że grozi panu śmiertelne niebezpieczeństwo!

Mężczyzna zaśmiał się gorzko. — O, doprawdy? Od chwili narodzin grozi mi

śmiertelne niebezpieczeństwo! Powiedz swoim przyjaciołom, żeby nie tracili na mnie czasu. Co prawda zwolnili mnie z aresztu, ale niedługo znowu przyjdzie policja i

wpakują mnie z powrotem do więzienia!

-

-

Panie Dumont! Pan nie rozumie! To nie są żarty!! Moi przyjaciele już tu jadą!

Byli u hrabianki Blu-mier i...

Marceli przerwał mu niespodziewanie. — A skąd ty znasz hrabiankę Blumier? .

-

Proszę posłuchać! Oni są przekonani, że pana przyjaciel Franciszek został zabity!

Słyszając nazwisko przyjaciela, Marceli pobladł. -Franciszek?

-

Niech mnie pan w końcu wpuści!

Marceli odsunął się od drzwi, pozwalając Leonowi wejść do mieszkania.

-

No więc jest ktoś, kto znał was obu i chce... -zaczął chłopak, ale nie zdążył dodać nic więcej.

Z kuchni wyłonił się Albert z pistoletem w ręce. -Dosyć tego dobrego — powiedział niskim głosem.

-

Panie Albercie? Co pan...? - zapytał osłupiały Marceli.

-

A niech to - wyjąkał Leon, czując jak miękną mu kolana. — Spóźniłem się...

-

Spóźniłeś? To zależy na co — odparł Albert, grożąc obu pistoletem. - A teraz

bądźcie cicho i róbcie dokładnie to, co wam powiem! Jasne?

-

Panie Al...

-

CICHO! - wrzasnął wściekle Albert. - Ręce do góry i ANI SŁOWA! Dość już się z tobą namęczyłem, Dumont! Nie wiem, co się stało z tą butelką

Rozdział ienasty

-

cydru, ani jak uciekł mi pan wtedy spod kół... Ale to już koniec historii! Właźcie do kuchni, obaj! Ale już!

—

Lepiej robić, co każe... — szepnął Leon, wchodząc do kuchni. Marceli poszedł jego śladem.

Albert wskazał im kieliszki szampana. Bierzcie.

-Co?

—

Brać za kieliszki! I pić do dna! Obaj!

Leon spojrział na pana Marcelego. — To chyba nie jest zwykły szampan...

—

Dość gadania! Pijcie! — krzyknął Albert, unosząc groźnie czarną lufę pistoletu.

—

Chętnie bym to zrobił - Leon postanowił grać na czas — ale problem w tym, że nie piję alkoholu... Mógłby pan mnie otruć czymś innym, na przykład... coca-colą?

—

Otruć? To ten szampan jest zatruty? — zdumiał się Marcei.

—

No pewnie, że jest zatruty! — Albert już prawie wrzeszczał. — Tak samo jak butelka cydru, którą panu dałem i którą pan... pan... co pan właściwie z nią zrobił?

Dał w prezencie właścicielom kamienicy?

—

Nie rozumiem, o czym pan mówi, Albercie! Nie widziałem na oczy żadnej butelki cydru! A niby kiedy pan mi ją dał?

—

W zeszłym tygodniu! Sam ją tutaj przyniosłem! Ale pana nie było w domu, więc...

—

Pewnie poszedłem na targ.

'cł w

Ostatnia podróż

—

Ale drzwi były otwarte...

—

Nigdy ich nie zamykam...

—

Czekałem pół godziny, ale pan nie wracał... więc zostawiłem butelkę na stole...

Nawet ją rozpakowałem, żeby mieć pewność, że pan od razu spróbuje tego cydru!

Ale pan zawsze musi komplikować sobie życie, co?! A teraz niech pan pije, i to już!

—

Ale dlaczego?

—

Żadnych pytań! Ty też pij, chłoptasiu!

—

A potem? Jak już nas pan otruje, na co pan liczy? — zapytał chłopak z dredami.

—

Nie twoja sprawa, smarkaczu.

—

Niech pan się lepiej dobrze zastanowi, kimkolwiek pan... — Leon urwał nagle, olśniony pewną myślą. - Wąsy! Pan ma wąsy! No jasne!

Albert odruchowo sięgnął ręką do swoich wąsów.

—

To pan jest tym fałszywym listonoszem z wąsami!

—

Pij!! — wrzasnął Albert, celując w niego z pistoletu.

—

Moi przyjaciele zaraz tu będą!

—

Nikt nie widział, jak wchodziłem na górę...

—

Ale tym razem nie wyjdzie pan niezauważony!

—

I zaparkowałem furgonetkę daleko stąd...

—
Kroki! Słyszysz pan? Kroki na schodach!! Moi przyjaciele już tu są!

—
Przestań!!! — zawył Albert z furją.

Ostatnia podróż

-
—
Ale drzwi były otwarte...

—
Nigdy ich nie zamykam...

—
Czekałem pół godziny, ale pan nie wracał... więc zostawiłem butelkę na stole...

Nawet ją rozpakowałem, żeby mieć pewność, że pan od razu spróbuje tego cydru!

Ale pan zawsze musi komplikować sobie życie, co?! A teraz niech pan pije, i to już!

—
Ale dlaczego?

—
Żadnych pytań! Ty też pij, chłoptasiu!

—
A potem? Jak już nas pan otruje, na co pan liczy? — zapytał chłopak z dredami.

—
Nie twoja sprawa, smarkaczu.
—

Niech pan się lepiej dobrze zastanowi, kimkolwiek pan... — Leon urwał nagle,

olśniony pewną myślą. - Wąsy! Pan ma wąsy! No jasne!

Albert odruchowo sięgnął ręką do swoich wąsów.

—
To pan jest tym fałszywym listonoszem z wąsami!

—
Pij!! — wrzasnął Albert, celując w niego z pistoletu.

—
Moi przyjaciele zaraz tu będą!

—
Nikt nie widział, jak wchodziłem na górę...

—
Ale tym razem nie wyjdzie pan niezauważony!

—
I zaparkowałem furgonetkę daleko stąd...

—
Kroki! Słyszysz pan? Kroki na schodach!! Moi przyjaciele już tu są!

—
Przestań!!! — zawył Albert z furją.

Rozdział ienasty

-
—
Ja też je słyszę! — zawołał Marcelli.

Rzeczywiście, na klatce schodowej słyszać było

pośpieszne kroki.

—

Jest pan w pułapce!

Albert spróbował wystrzelić, ale Marceli był szybszy. Cisnął na posadzkę kieliszek, który rozprysnął się w drobny mak, a sam rzucił się do przodu i chwycił za pistolet.

—

O nie, Dumont! Nie uciekniesz mi!

Rozległ się huk wystrzału. Kawał tynku za plecami Marcelego oderwał się od ściany.

Z rozpaczliwą odwagą nieszczęśnik rzucił się na swego prześladowcę.

—

Ty łajdaku!!!

Szamocząc się, mężczyźni upadli na stół, a potem na podłogę. Nagle drzwi

wejściowe otworzyły się z impetem.

—

To pan Dumont!

—

Uważajcie! — zawołał Leon. — On ma broń!

—

Simon, nie wchodź!

—

Nikoła! Uciekaj!

Pistolet wytrącony z ręki Alberta potoczył się po podłodze. Czyjaś dłoń złapała go przez białą chusteczkę i podniosła.

—

Stać! — zagrzemiał głos księcia sali sądowej.

—
Niech pan uważa! Jest naładowany! - jęknął Marcelli, trzymając się za rozbitą
wargę.

—
Kim pan jest, do diabła? - wybełkotał Albert.

. u

Ostatnia podróż

—
To nieistotne. Niech pan nawet nie próbuje się ruszyć! Zapewniam, że potrafię
się posłużyć tą zabawką. Marcelli, proszę tu przyjść!

Poturbowany człowieczek podszedł do niego z wahaniem. - Pan też... chce mnie
zabić?

Mecenas Ferdynand wręczył mu pistolet. — Niech pan trzyma. Da pan radę
przypilnować go przez parę minut?

-
Co takiego...?

Zza okna coraz głośniejszy był wycie syren.

—
Słyszysz pan?

-
Policja! — warknął Albert.

-
Nic nie rozumiem... - żalił się Marcelli. — Kto wezwał policję? Kim pan jest? I
dlaczego pan Albert chce mnie otruć?

—
Gdy przyjdzie policja, niech im pan powie, żeby przebadali ten szampan w laboratorium — poradził mu mecenas. — Jeśli mamy szczęście, znajdą w nim kwas pruski, ten sam, co w butelce cydru. A potem niech pan powie, że chce zobaczyć swój podpis pod testamentem hrabiny Blumier.

-
Mój podpis? Pod testamentem hrabiny Blumier? Ależ ja nigdy... — Pan

Dumont był zupełnie skołowany.

—
I o to chodzi, panie Marceli. O to chodzi!

Syreny policyjne słycać było coraz bliżej. Nikola,

Simon i Leon dawali adwokatowi znaki, że na nich już czas.

m

Rozdział siedemnasty

—
Ale kim pan u diabła jest?! — zawołał wściekle Albert. Marceli, który wciąż trzymał go na muszce, natychmiast go uciszył.

—
Jestem... Jestem tylko... — mecenas już miał powiedzieć: „Jestem tylko detektywem-amatorem!”. Ale nagle przyszła mu do głowy inna myśl. — Jestem .. Kingiem Ellertonem! — oświadczył dumnie.

—
Kingiem... Ellertonem? — wyjąkał Marceli, przypominając sobie parę książek, które przeszły także przez jego drukarnię. — Ale czy King Ellerton nie jest postacią z...

Syreny zawyły tuż pod kamienicą na ulicy Charlot. Przez okna wpadło do mieszkania migające

światło policyjnych wozów.

Marceli obejrzał się z przestachem. Zanim odwrócił się z powrotem, cała tajemnicza czwórka — dystyngowany mężczyzna, który przedstawił się jako King Ellerton,

czarnoskóry chłopiec oraz dwójka dzieci, które ledwo mignęły w drzwiach —

zdażyła już rozplynać się w powietrzu.

Aresztowanie Alberta, właściciela biura podróży o tej samej nazwie, wywołało duże poruszenie w dzielnicy. Napisano o tym nawet w niedzielnym wydaniu „Le Monde”

— i to znacznie więcej niż o aresztowaniu Marcelego. Syn pani Jaśminy natychmiast wyciął tę notkę z gazety i oprawił w ramkę, a potem, ledwo ukrywając dumę,

zawiesił wycinek niczym trofeum na ścianie korytarza przed wejściem do zielonego gabinetu. Właśnie zszedł z drabiny i podziwiał swoje dzieło, gdy nadszedł listonosz.

—
Nad czym pan tak duma? — zapytał Wiktor. — Nad tajemnicą życia i śmierci?

—
To wiekopomna chwila, panie Cormolles! Rozwiązaliśmy naszą pierwszą sprawę!

—
Ano, niby że tak... — listonosz starał się udawać

\Jm

Rozdział osiemnasty

obojętność. — Inni już są?

—
Nie, pan jest pierwszy.

—
Aha, a ja przecież mam tu coś dla pana - jakby dopiero teraz przypomniał sobie

Wiktor., Wyciągnął z kieszeni liścik i podał go antykwariuszowi.

—
To nie do mnie — zauważył syn pani Jaśminy. — To do pana Ferdynanda.

—
Do pana, do pana, może mi pan wierzyć -uśmiechnął się Wiktor. - Nie czuje pan?

—
Perfumy? — zawołał antykwariusz, podsuwając sobie kopertę pod nos.

—
Właśnie. Gdybym tak doręczył to jego żonie...

Syn pani Jaśminy roześmiał się. — Ale bądź co bądź nazwisko na kopercie brzmi „Janvier”.

—
Eee, pewnie nie wiedziała, do kogo innego mogłaby zaadresować.

—
Ale kto?

—
No niech pan wreszcie otworzy, to się pan dowie!

—
A pan już wie? Skąd?!

—
Tajemnica zawodowa — uśmiechnął się listonosz.

Jakieś dwadzieścia minut później cały klub detektywów z zaułka Woltera siedział

dookoła stołu w zielonym gabinecie. Wszyscy mieli uroczyste miny i wpatrywali się uważnie w syna pani Jaśminy, który przemawiał w kwiecistym stylu:

Perfidny plan

-
—
Tak więc, moi państwo, pozwólcie, że podsumuję serię mających ostatnio
miejsce zdarzeń, znanych nam wszystkim jako „sprawa Marcelego Dumon-t'a”. Otóż jakiś czas temu
panu Albertowi wpadła w oko hrabina Blumier — tutaj syn pani

Jaśminy pokazał zdjęcie hrabiny, które Leon ściągnął z Internetu — bajecznie bogata wdowa w
średnim wieku, uwielbiająca podróże. Nasz Albert jest właścicielem biura

podróży, nic więc dziwnego, że udało mu się nawiązać z nią znajomość. Gdy to

nastąpiło, opracował iście diabelski plan: napisał testament, w którym jedynym

spadkobiercą całego majątku hrabiny uczynił siebie samego. Aby testament był

ważny, musiał zostać podpisany przez hrabinę i co najmniej dwóch świadków. Jakim

sposobem przekonać hrabinę, by go podpisała? Pomysł Alberta był doskonale prosty.

Zorganizował wycieczkę do Biarritz, w której wzięła udział zarówno hrabina, jak i dwaj
przyjaciele...

—
Marceli i Franciszek — uzupełniła natychmiast Nikola.

—
Zgadza się. Obaj pasowali idealnie do planu Alberta: nierzucający się w oczy,

mało towarzyscy, bez bliskiej rodziny. Pierwszy pracował w drukarni, drugi - jako stróż nocny.
Podczas podróży do Biarritz, pod pretekstem konkursu z nagrodami

związanego z wycieczką, Albert podsunął testament do podpisania najpierw obu

przyjaciołom, potem hrabinie. Sztuczka

Perfidny plan

-14*-
—

Tak więc, moi państwo, pozwólcie, że podsumuję serię mających ostatnio

miejsce zdarzeń, znanych nam wszystkim jako „sprawa Marcelego Dumon-t'a". Otóż jakiś czas temu panu Albertowi wpadła w oko hrabina Blumier — tutaj syn pani

Jaśminy pokazał zdjęcie hrabiny, które Leon ściągnął z Internetu — bajecznie bogata wdowa w średnim wieku, uwielbiająca podróże. Nasz Albert jest właścicielem biura

podróży, nic więc dziwnego, że udało mu się nawiązać z nią znajomość. Gdy to

nastąpiło, opracował iście diabelski plan: napisał testament, w którym jedynym

spadkobiercą całego majątku hrabiny uczynił siebie samego. Aby testament był

ważny, musiał zostać podpisany przez hrabinę i co najmniej dwóch świadków. Jakim

sposobem przekonać hrabinę, by go podpisała? Pomysł Alberta był doskonale prosty.

Zorganizował wycieczkę do Biarritz, w której wzięła udział zarówno hrabina, jak i dwaj przyjaciele...

—
Marceli i Franciszek — uzupełniła natychmiast Nikola.

—
Zgadza się. Obaj pasowali idealnie do planu Alberta: nierzucający się w oczy,

mało towarzyscy, bez bliskiej rodziny. Pierwszy pracował w drukarni, drugi - jako stróż nocny. Podczas podróży do Biarritz, pod pretekstem konkursu z nagrodami

związanego z wycieczką, Albert podsunął testament do podpisania najpierw obu

przyjaciołom, potem hrabinie. Sztuczka

Rozdział osiemnasty

-
jest prosta: wystarczy sprytnie ułożyć kartki papieru...

—
Stary numer różnych oszustów... — wtrącił mecenas Janvier.

—
...i voilà, nasz Albert ma w ręce dokument, pozornie całkowicie autentyczny —

ciągnął syn pani Jaśminy. — Jednak tylko pozornie. Zeby testament nabrał mocy

prawnej, trzeba kilku rzeczy...

—
Po pierwsze, musi umrzeć hrabina Blumier — odpowiedział Wiktor.

—
Myślicie, że ją zabił? — spytała pani Jaśmina.

—
Nie sędzę - odparł książę sali sądowej. - Hrabina umarła z przyczyn

naturalnych. Zresztą, to właśnie niespodziewana śmierć hrabiny popchnęła Alberta do działania...

Syn pani Jaśminy skinął głową. — Zgadzam się. Podejrzewam, że Albert chciał tylko schować testament, a potem wyciągnąć go we właściwym momencie. Ponieważ

jednak hrabina Blumier umarła, musiał ogłosić istnienie testamentu — i to szybko.

Bał się przy tym, że córka hrabiny pójdzie do obu świadków i zapyta, czy jej matka naprawdę zapisała w ich obecności cały swój majątek jakiemuś nieznanemu... Tak

więc Albert musiał się pośpieszyć i wyeliminować ich obu.

—
I zgarnąć spadek.

—
W rzeczy samej. Z biednym Franciszkiem poszło

5

Perfidny plan

-
mu gładko. Z Marcelim za to... jak wiemy, sprawa się nieoczekiwanie

skomplikowała. Albert, przebrany za listonosza, przyniósł Marcelemu butelkę

zatrutego cydru. Wiedząc, jak bardzo nasz nieszczęśnik lubi cydr, spodziewał się, że Marcelli otworzy butelkę jak tylko ją zobaczy. Ale nie wszystko poszło tak, jak

planował. A właściwie wszystko poszło zupełnie inaczej! Po pierwsze, gdy Albert przyszedł z przesyłką, Marcelego nie było w domu. Nasz fałszywy listonosz wszedł do środka (drzwi jak zawsze nie były zamknięte na klucz) i czekał. Marceli jednak długo nie wracał, więc Albert wyciągnął butelkę z niebieskiego pudełka, wyrzucił pudełko do śmieci, a samą butelkę zostawił w dobrze widocznym miejscu, na stole. A potem wyszedł.

-

A teraz... no proszę. Zwrot akcji! - zawołał Simon, miłośnik kryminalnych historii.

-

Tak! Wydarzyła się kolejna rzecz nieplanowana przez Alberta: przyszli państwo Bloch. Chcieli porozmawiać z Marcelim, pewnie, żeby się porozumieć w sprawie zaległego czynszu...

—

Portieпка zapewniała mnie, że stosunki między nimi były dobre — wtrąciła pani Jaśmina. — I chociaż pani Bloch, jak pamiętamy, była bardzo skąpa, całą sprawę zapewne udałoby się załagodzić...

—

Zapewne... Tak czy inaczej, Blochowie przyszli do mieszkania Marcelego i widząc, że go nie ma, po-

Rozdział ienasty

-

stanowili na niego poczekać - ciągnął Ludwik. - Na stole zauważyli oczywiście butelkę cydru. Jak wiemy, pan Marceli i pan Bloch mieli zwyczaj wypijać czasem wspólnie kieliszek tego trunku. Nic więc dziwnego, że widząc cydr właściciele

kamienicy zechcieli się poczęstować. Kieliszek dla niego, kieliszek dla niej... I tak, zasadniczo, sami się otruli.

— W sumie, morderca zabił dwie niewłaściwe oso-

-

Dokładnie tak - potwierdził syn pani Jaśminy. -Gdy Albert to odkrył, wpadł we wściekłość: wiedział, że musi zabić Marcelego, zanim ten trafi do więzienia.

Próbował go więc przejechać, ale dzięki naszym dzielnym przyjaciołom, Nikoli i

Simonowi...

-

Ale my nic nie zrobiliśmy wielkiego — wtrąciła Nikola. — Byliśmy po prostu przypadkiem na miejscu, kiedy...

-

No co ty, Nikola, przecież od razu pobiegliśmy mu pomóc! — dla Simona było

jasne, że odegrali w tej sytuacji rolę bohaterów. - Poza tym gdyby nie my, nikt by się nie dowiedział o Marcelim!

-

Simon! Nie można się tak przechwalać! - skarciła go siostra.

-

Ale ja tylko...

-

Faktem jest - uciął sprawę syn pani Jaśminy - że również ta próba zabójstwa się nie udała...

-

Co nie przeszkodziło Marcelemu dalej myśleć, że

by

Perfidny plan

prześladuje go pech!

—
I w sumie nie bez racji: trafił przecież do aresztu jako podejrzany o

morderstwo państwa Bloch. Na szczęście tylko na kilka dni. Za to, gdy Marceli

wyszedł na wolność, od razu wpadł w ręce pana Alberta, który postanowił pozbyć się go jeszcze raz... i znowu za pomocą zatrutej butelki! Ale tym razem na wszelki

wypadek zabrał z sobą jeszcze pistolet. Albert był pewien, że na pewno mu się uda —

i rzeczywiście, los biednego pana Marcelego byłby opłakany, gdyby nie to, że

brygada naszych odważnych detektywów wpadła do jego mieszkania dosłownie w

ostatniej chwili...
—

Zapomniałeś o Leonie! On to dopiero był odważny! — przerwał mu Simon.

—
Dajcie spokój... — bronił się Leon. — Nie wiem, co by było, gdybyście nie przyjechali w porę...
—

Ależ młody człowieku, zachowałeś się doskonale! - włączył się do rozmowy mecenas. — Gra na zwłokę w obliczu niebezpieczeństwa to klasyczny chwyt dobrego detektywa!

—
Co do dobrego detektywa, to nikt nie przebije pana, panie Ferdynandzie! To dopiero była klasa!

—
Ach, doprawdy... Staralem się tylko zrobić profesjonalne wrażenie...

—
Ale ten pana pomysł z Kingiem Ellertonem był po prostu ka-pi-tal-ny!

—
Tak, szkoda, że nie widzieliście miny Marcele-

Rozdział nasty

-
go, kiedy pan Ferdynand to powiedział! Myślałem, że padnę z wrażenia!

Detektywi przerzucali się komplementami jeszcze przez chwilę, a potem zaczęli z ożywieniem dyskutować o szczegółach całej sprawy. Czy samochód, którym Albert usiłował przejechać Marcelego, był wynajęty? Pewnie tak, w końcu to była limuzyna! Jaka okazała się córka hrabiny? Była trochę śmieszna, ale w sumie...

-
Właśnie! - przypomniał sobie syn pani Jaśminy. — Mam tu liścik, który chciałbym wam wszystkim przeczytać!

-
Liścik?

-Jaki?

-
Od kogo?

-
Co w nim jest?

-
Drodzy przyjaciele z Paryskiego Stowarzyszenia Przeciwno Wszelakim

Oszustom i Naciągaczom - zaczął syn pani Jaśminy.

-
Ze... co?

-
Kto to napisał?

-
Co to za dziwaczna nazwa?

Nikola i Simon, którzy znali kulisy powstania Paryskiego Stowarzyszenia Przeciwko Wszelakim Oszustom i Naciągaczom, krztusili się ze śmiechu.

-
Nie mam pojęcia, jak to zrobiliście ani dla kogo pracujecie — czytał dalej

antykwariusz — ale pragnę wyrazić

Perfidny plan

Wam moją wdzięczność. Nie wiem, czy kiedykolwiek przeczytacie ten liścik, który

adresuję do jedynej osoby z Waszej szlachetnej organizacji, jaką miałam okazję

poznać. Liczę jednak na to, że jakimś sposobem, nieoczekiwanie, tak jak Wy do

mnie, te podziękowania trafią do Was. Podpisano: hrabina Blumier.

Gdy syn pani Jaśminy skończył czytać, w gabinecie zapadła cisza, przerywana tylko zadowolonym po-sapywaniem Wiktora. A potem, jak zwykle, wszyscy zaczęli mówić

jeden przez drugiego.

—
Do licha, to dopiero kobieta z klasą.

—
Jak miło jest pomóc komuś w potrzebie...

—
Prawdziwa hrabina!

—
W sumie to nie była nawet taka śmieszna, jak się wydawało!

—
Nieźle się spisaliśmy...

—
Jest coś jeszcze, Ludwiku?

Nim antykwariusz zdążył pokręcić głową, Simon zawołał: — Pewnie, że tak! Jedyne słuszne happy end\ Idziemy!

Było piękne, ciepłe popołudnie. Słońce zniżało się coraz bardziej na niebie, wiał miły, lekki wiatr, a drzewa rzucały długie cienie na roześmianych spacerowiczów.

Wśród nich jedna para wydawała się szczególnie zadowolona z życia: Ernest i jego żona Walentyna. Idąc pod rękę, rozmawiali o wszystkim i o niczym, szczęśliwi, że w końcu mają czas tylko dla siebie.

Gdy dotarli do zakrętu, który wychodził na otoczony kamienicami plac, nadkomisarz Gaillard zatrzymał się nagle przed słynną naleśnikarnią Petit Canard.

Zaglądając do środka przez szybę, powiedział niepewnie: — Kochanie, wydaje mi się, że widzę... nie, to chyba niemożliwe... zobacz sama... — Pani Wa-

lentyna spojrzała we wskazanym kierunku i, w przeciwieństwie do męża, od razu rozpoznała siedzących tam winowajców.

—
Nikoła! Simon! - zawołała zdumiona. - Co oni tu robią?

—
Ależ moja droga... - odpowiedział jej mąż z lekkim rozbawieniem. — Nie

trzeba wcale przepracować w policji tylu lat co ja, by stwierdzić z całą pewnością niezbity fakt: nasze dzieci pałaszują dwa ogromne naleśniki z czekoladą. W

przypadku Simona w grę wchodzi także banan.

—

O nie! Ja im pokażę! Znowu dorwali się do tego paskudztwa! Tak się staram, żeby jedli tylko zdrową żywność, a oni tymczasem... Ale... Och, Erneście! Czy mi się wydaje, czy...?

—

Nie wydaje ci się — zaśmiał się mąż. — Ten, który właśnie posypuje sobie naleśnik cynamonem, to bez cienia wątpliwości mecenas Ferdynand.

—

Janvier?

—

Jest też Leon — wyliczał dalej nadkomisarz. — Jego naleśnik jest, z tego co widzę, nadziewany szynką i serem.

—

I pani Jaśmina z synem, spójrz!

—

Marmolada i bita śmietana.

—

W Petit Canard jest praktycznie cała nasza kamienica! — zawołała pani

Walentyna. — Jak to możliwe? Co się dzieje? To jakaś... naleśnikowa epidemia?

Koniec historii

Ernest bawił się coraz lepiej. — Mamy za mało poszlak, żeby wypracować dobrą teorię na ten temat... Ale na pewno wszyscy wyglądają na absolutnie szczęśliwych!

-

Ale... co my mamy teraz zrobić? Jak myślisz? Wejść do środka? Czy może po

prostu udać, że niczego nie widzieliśmy? Tak, może to by było najlepsze wyjście...

Pójdziemy do domu, a tam na kolację przygotowałam już szpinak i...

Komisarz Gaillard uniósł jedną brew do góry, nieświadomie naśladowując minę mecenasa, Białego Gołębia paryskich sądów.

-

Szpinak, powiadasz... — mruknął, spoglądając na swe dzieci usmarowane czekoladą prawie po uszy. A potem zawołał: - Już wiem! Wiem, co zrobimy!

-

Tak? — zapytała z nadzieją pani Walentyna.

-

Nie możemy udawać, że niczego nie widzieliśmy! Naszym obowiązkiem jako rodziców jest wszystko widzieć i... w razie potrzeby wkroczyć do akcji!

-

No... w zasadzie tak... ale... w razie jakiej potrzeby?

-

W razie potrzeby natychmiastowego zjedzenia pysznego naleśnika!

-

Ernest!!

Ale komisarz Gaillard wchodził już do Petit Ca-nard. Drzwi naleśnikami otworzyły się szeroko i zamknęły z powrotem, uwalniając na chwilę cudowny zapach wanilii i czekolady.

Pani Walentyna zamknęła oczy i próbowała nie myśleć o tym, co tak ślicznie pachnie.

Przecież obiecała sobie, że już nigdy... Ale z drugiej strony... „Nigdy nie mów

nigdy!". Wzruszyła ramionami i westchnęła: — W końcu... chyba faktycznie trzeba będzie wkroczyć do akcji!

I już była w środku. A gdyby ktoś teraz zajrzał przez szybę, zobaczyłby, jak siada przy stoliku, witana brawami i wybuchami radosnego śmiechu, i zamawia pyszny

naleśnik, specjalność Petit Canard. Ale kto miałby czas, żeby zaglądać przez szybę, gdy Paryż jest taki piękny o tej porze dnia?

1.

To pachnie zagadką!

7

2.

Pirat drogowy

13

3.

Na tropie

19

4.

Kieliszek trucizny 27

5.

Antykwariusz-detektyw 39

6.

Książę sali sądowej

47

7.

Zielony gabinet

61

8.

Powstaje klub detektywów

73

9.

Śledztwo: czas — start! 83

10.

Paryski lis 99

11.

Drukarnia 107

12.

Worek ze śmieciami

117 13- Tajemnica niebieskiego pudełka

127

14.

Na scenę wchodzi hrabina

137

15.

Zagmatwana zagadka

147

16.

Testament prawdy 155

17.

Ostatnia podróż 165

18.

Perfidny plan

181

Koniec historii

191

Pierdomenico Baccalario

Urodziłem się 6 marca 1974 roku w Acqui Terme, małym, ładnym miasteczku w Piemontie. Wychowywałem się wśród lasów, z trzema psami, czarnym rowerem i Andream, który mieszkał pięć kilometrów pod górkę od mojego domu.

Zacząłem pisać w liceum: podczas niektórych szczególnie nudnych lekcji udawałem, że robię notatki, a tymczasem wymyślałem opowiadania. Tam też poznałem grupę przyjaciół, fanów gier fabularnych, z którymi wymyślałem i odkrywałem dziesiątki fantastycznych światów. Jestem trochę szczególnym, ale niezłym odkrywcą. Gdy studiowałem prawo na uniwersytecie, zdobyłem

nagrodę wydawnictwa Battello a Vapore za powieść „Droga wojownika” i był to

jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu. Od tamtego czasu zacząłem pisać

powieści. Po ukończeniu studiów pracowałem dla muzeów i przy projektach

związanych z kulturą, starając się sprawić, żeby nawet stare zakurzone przedmioty opowiadały interesujące historie. Podróżowałem i poszerzałem horyzonty: Celle

Ligure, Piza, Rzym, Werona. Uwielbiam odkrywać różne sposoby na życie i

odwiedzać nowe miejsca - chociaż potem wracam w końcu zawsze do tych samych.

Mam jedno takie specjalne miejsce. Jest to drzewo w dolinie Val di Susa, skąd widać wspaniały krajobraz. Jeżeli lubicie wędrować tak jak ja, powiem wam, jak tam

dotrzeć.

Tylko żeby to zostało między nami.

Alessandro Gatti

Urodziłem się w 1975 roku w Aleksandrii, nie, nie tej w Egipcie - tej w Piemontie.

Stało się tak zresztą przez przypadek, ponieważ od razu zamieszkałem w małym miasteczku opodal Asti, które ma w nazwie pięć „a”: Calamandrana. Kto wie, być może dlatego nabrałem wstrętu do „a” i dlatego od kilku lat mieszkam głównie w Turynie, który nie ma ani jednego „a”. Teraz moja historia. Gdy byłem mały, chciałem być odkrywcą, ale byłem też bardzo leniwy. Na szczęście mieszkałem w starym domu pełnym szaf z tajemniczymi szufladami, dzięki czemu mogłem wiele odkrywać, niewiele się przy tym męcząc. W tych szufladach znalazłem mnóstwo ciekawych rzeczy: ołowiane żołnierzyki, monety z dalekich stron, pocztówki z krajów, które już nie istniały, rzeźbione fajki, stare fotografie szczęśliwych ludzi, stare fotografie ludzi nieszczęśliwych... Krótko mówiąc, mnóstwo przedmiotów, które zdawały się mieć swoją historię. Historię, której nie znałem, ale którą mogłem sobie wyobrazić i mieć dzięki temu jeszcze lepszą zabawę. Założę się, że już wiecie, do czego zmierzam: próbując wymyślać te historie, zacząłem pisać. .. i już nie przestałem, nawet kiedy zabrakło rupieci na dnie szuflad.

Pierdomenico Baccalario

Urodził się 6 marca 1974 roku w Acqui Terme. Zaczął pisać w liceum. Podczas nudnych lekcji pisał opowiadania, udając, że robi notatki. Studiował prawo. Już w trakcie studiów otrzymał nagrodę Premio Battello a Vapore za powieść *ha strada del guerriero*. Było to przełomowe wydarzenie w jego karierze. Od tamtego czasu zaczął pisać powieści. Kocha podróże, zwiedzanie nowych miejsc, choć zawsze z przyjemnością wraca do domu.

Alessandro Gatti

Urodził się w 1975 roku w Aleksandrii, w Piemoncie. Gdy był mały, chciał zostać odkrywcą. Jednak jego losy potoczyły się inaczej. Mieszkał w starym domu pełnym szaf z tajemniczymi szufladami. W tych szufladach znalazł mnóstwo ciekawych rzeczy: ołowiane żołnierzyki, monety z dalekich stron, pocztówki z krajów, które już nie istniały, rzeźbione fajki, stare fotografie szczęśliwych ludzi, stare fotografie ludzi nieszczęśliwych. Mnóstwo

przedmiotów, które miały swoje historie. Historie,
których nie znał, ale które mógł sobie wyobrazić. I tak próbując wymyślać te
historie, zaczął pisać książki.